James H. Schmitz

Gwiezdne hiacynty

(The Star Hyacinths)

Tłumaczenie Witold Bartkiewicz

Amazing Stories, December 1961.
Ilustracje: Virgil Finlay.
Oryginał tekstu i ilustracje zaczerpnięto z wydania Projektu Gutenberg.



Na ponurej, odległej, niezbadanej planecie, spoczywały dwa rozbite statki, a samotny człowiek wpatrywał się w gwiezdny hiacynt. Jego wspaniałość wręcz paliła go w oczy… i wiedział już, że człowiek mógłby z łatwością zabijać bez końca, tylko dla samego jego piękna.

Rabunek na Stacji Dostawczej Asteroidów Doseya, w odległym i częściowo tylko zbadanym regionie kosmosu, zgodnie z informacjami podawanymi przez systemy publikatorów wiadomości Federacji Ośrodka[1], był jedną z najbardziej soczystych historii kryminalnych sezonu. W nie do końca jasnych okolicznościach, Kompania Asteroidów Doseya, straciła w jego wyniku sześciomiesięczną produkcję świeżo oszlifowanych gwiezdnych hiacyntów, najwyższej jakości klejnotów czystej wody, których wartość oceniano niemal na sto milionów kredytów. Straciła również Głównego Szlifierza i siedemdziesięciu ośmiu innych pracowników, w tym czasie znajdujących się pod kopułą stacji.

[1] W oryginale *Federation of the Hub*. Federacja Ośrodka jest miejscem akcji obszernego cyklu kilkudziesięciu, ściślej i luźniej powiązanych między sobą, utworów Jamesa H. Schmitza, o rozmiarach od opowiadania do powieści (przyp. tłumacza).

Początkowo wydawało się, że wszyscy ci ludzie zostali zabici przy pomocy ognia z broni energetycznej, ale dokładne oględziny ich ciał, ujawniły że rany postrzałowe były faktyczną przyczyną zgonu jedynie w kilku przypadkach. Przeważnie rany te zostały już zadane zwłokom, przypuszczalnie w celu próby ukrycia faktu, że na stacji wydarzyła się jakaś inna katastrofa, bliżej nieznanej postaci.

Rabusie pozostawili bardzo niewiele śladów. Okazało się, że atak na stację przeprowadzony został tylko przez jeden statek, a śluzy do kopuły, otworzone zostały od wewnątrz. Drugi z tych faktów spowodował, oczywiście, powstanie całej lawiny spekulacji, ale nie doprowadził zespołu dochodzeniowego do niczego.

Minęło sześć lat, a wielki rabunek na Asteroidach Doseya, nadal pozostawał nierozwikłaną tajemnicą.

****

Dwa rozbite statki kosmiczne, spoczywały niemal obok siebie, tuż w pobliżu samego koniuszka, wąskiego i głębokiego ramienia wielkiego jeziora.

Jedyny żyjący na planecie człowiek, siedział właśnie na skalistym występie, położonym o trzy mile pod górę od obydwu statków. Spoglądał na nie z głęboką zadumą. Był to wielki mężczyzna, w schludnie połatanej odzieży pokładowej. Ręce miał czyste, a twarz starannie ogoloną. Miał przy sobie dwie rzeczy, tradycyjnie już będące własnością rozbitków; potężny łuk myśliwski, oparty w pobliżu o skały, oraz skaczącego mu koło stóp niewielkiego reprezentanta klasy zwierząt, która na tej planecie stanowiła odpowiednik ptaków. Było to beztrosko zachowujące się stworzenie o rozmiarach drozda i jasnych, żółtych oczach. Z przodu okrągłej główki, wystawała mu krótka, wąska rurka, zakończona małymi, ostrymi zębami. Kiedy tak biegał w tą i z powrotem, pomiędzy łukiem i człowiekiem, zakrzywione rogowate wyrostki na zakończeniach długich palców u nóg, ochraniały wciągnięte pazury. Każdemu nawrotowi towarzyszyło krótkie trzepotanie skrzydeł. W końcu stworzenie zatrzymało się przed człowiekiem, wyciągając szyję i natarczywie świdrując go oczyma, w próbie przyciągnięcia jego uwagi.

Wyrwany ze swej zadumy mężczyzna, spojrzał na zwierzaka z widoczną irytacją.

– Nie teraz, Ptaszku – odparł. – Siedź spokojnie!

Spojrzenie człowieka ponownie powędrowało w kierunku dwu leżących w dole statków, potem krótko przebiegło wzdłuż wysokiego łańcucha wulkanów, wznoszącego się po drugiej stronie jeziora, by na koniec wznieść się w pozbawione chmur, błękitne niebo. Jego oczy zagłębiły się w nim na dłużej, przeszukując rozświetlone przez słońce, puste sklepienie wysoko, niemal prosto nad głową. Gdyby jakiś statek miał kiedykolwiek tu się jeszcze pojawić, to przyleciałby właśnie stamtąd, z detektorami

ustawionymi na wcześniej wykryte dwa wraki leżące opodal odnogi jeziora. Raczej mało prawdopodobne by leciał prześlizgując się wzdłuż powierzchni planety…

Ptaszek wydał z siebie ostry żałosny gwizd. Człowiek spojrzał na zwierzaka.

– Zamknij się, głupolu! – powiedział do niego.

Sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyjął jakiś mały przedmiot, zawinięty w kawałek skóry, i ostrożnie go odpakował.

Kiedy już spoczął bezpiecznie w jego dłoni, zapłonął ze świetnością dwudziestu brylantów. Wydawało się, że z każdej ścianki fasetowej powierzchni, błyska fantazyjnie ognikami o wszystkich barwach tęczy. Nie było w nim nawet śladu, tego często występującego zmatowienia czystej fioletowej luminescencji, która to właśnie czyniła gwiezdne hiacynty niemożliwymi do sfałszowania, a raz widziane, niemożliwymi do zapomnienia. Najpiękniejszy z klejnotów, najrzadszy, najbardziej wartościowy. Rozbitek, wpatrywał się w niego przez kilka długich sekund, podczas których jego oddech wyraźnie przyśpieszył, a ręce zaczęły lekko drżeć. W końcu zawinął z powrotem kawałek niewiarygodnie pięknego minerału w skórę i schował go ostrożnie z powrotem do kieszeni.

Kiedy ponownie uniósł wzrok, żeby się rozejrzeć wokół siebie, przesiąknięte słońcem powietrze, wydawało się jeszcze jaśniejsze, a barwy jeziora i ziemi, bardziej soczyste i żywe. W czasie każdego z krótkich dni tej planety, tylko raz, i nie częściej, pozwalał sobie na luksus spojrzenia na gwiezdny hiacynt. Był to rytuał, którego dotrzymywał regularnie, niemal z religijną skrupulatnością. I tylko on pozwolił mu na zachowanie zdrowia psychicznego, przez ponad sześć lat pobytu na planecie.

Czasami myślał sobie, że być może, pozwoli mu to w ogóle na uniknięcie szaleństwa, jeżeli wydarzy się cud i w jakimś stosunkowo niedługim czasie przybędzie tutaj trzeci statek. I wtedy…

W tej właśnie chwili, przyleciał trzeci statek. Znajdował się ciągle o jakieś pięć godzin lotu od systemu. Była to mała jednostka, o niepozornym, podejrzanym wyglądzie. Szybki, mały ścigacz, dopiero co spokojnie prześlizgujący się przez podprzestrzeń, który wyskoczył z niej ze zduszonym ciągiem silników.

Na pokładzie statku, sprawy miały się jednak w znacznie mniej pokojowy sposób.

****

Dziewczyna stoczyła całkiem niezłą walkę, która jednak nic jej nie mogła pomóc, przeciwko wielkiemu Flociarzowi o byczym karku. Właśnie przyszpilił ją plecami do ściany.

Wellan Dasinger zastygł w chwilowym niezdecydowaniu, stojąc w wejściu do na wpół ciemnego przedziału sterowniczego ścigacza. Bójka w środku, najprawdopodobniej nie była jego sprawą. Ludzie z wędrownych

Flot Niezależnych, mieli swoje własne wzorce zachowania i obyczaje, i byli bardzo przewrażliwieni na punkcie ingerowania w nie, przez nieuświadomionych mieszkańców planet. Z tego wszystkiego co było wiadome Dasingerowi, ich niebieskooka pani pilot, do tej pory była raczej zadowolona z szorstkich zalotów krzepkich członków swojej załogi. Jeżeli ta cała sprawa nie była na poważnie…

Usłyszał jak mężczyzna wyszczekał coś w języku Floty Wilata, podkreślając swoje słowa solidnym walnięciem pięścią w bok dziewczyny. Uderzenie nie wyglądało wcale na żartobliwe, a jej ostre sapnięcie bólu, wskazywało, że od samego początku zabawa raczej nie wchodziła w grę. Dasinger wkroczył więc zdecydowanie do pomieszczenia.

Kiedy pojawił się za plecami marynarza, zauważył padające na niego zaskoczone spojrzenie dziewczyny. Atakującym mężczyzną był Liu Taunus, większy z dwóch członków załogi… zbyt wielki i zdecydowanie zbyt dobrze umięśniony, by, oczywiście według Dasingera, sportowe zwrócenie na siebie uwagi klepnięciem w ramię, było rozsądnym podejściem. Poza tym Dasinger i tak nie znał języka Floty Wilata. Po prostu więc walnął z całej siły dwukrotnie kantem dłoni w gruby kark, a potem jego pięść wyrwała z płuc Taunusa długi świszczący oddech, zanim jeszcze Flociarz zdążył do końca odwrócić się w jego stronę.

Dzięki tej akcji Dasinger początkowo uzyskał znaczącą przewagę. W ciągu następnych dwudziestu sekund, lub coś koło tego, zaczęła ona jednak błyskawicznie topnieć. Pięści i buty Taunusa, jak na razie, uzyskiwały jedynie niemal trafienia, ale powoli zaczynało wyglądać na to, że będzie to najtwardszy orzech do zgryzienia, z jakim Dasinger miał w życiu do czynienia. W końcu jednak Flociarz poleciał na podłogę, prosto na twarz, z bezwładnie rozrzuconymi rękoma, jak każdy twardy chłoptaś, któremu się solidnie przywali w system nerwowy.

Dasinger nagle zesztywniał, słysząc za sobą solidne *łup* i odgłos padającego ciała. Ostro się odwrócił, odkrywając fakt, że dziewczyna stoi ze trzy metry za nim, z solidnym francuzem w uniesionej ręce, a między nimi leży na dywanie drugi z członków załogi, no a przede wszystkim w pobliżu ręki mężczyzny leży bardzo długi i bardzo ostry nóż.

– Dziękuję, panno Mines – powiedział, nieco zdyszany. – Naprawdę, powinienem pamiętać, że gdzieś w okolicy może jeszcze się kręcić Calat.

Duomart Mines wskazała ruchem głowy na przyległą kabinę sterówki.

– Tam siedział – odparła, również lekko sapiąc ze zmęczenia.

Była długonogą blondynką, o kocich ruchach. Kiedy tak stała w tym swoim dopasowanym mundurze Floty, patrzyło się na nią z prawdziwą przyjemnością. Efekt ten psuły jednak nieco powściągliwe i wyrachowane oczy dziewczyny. W przyćmionym świetle pomieszczenia, wydawała się teraz studiować Dasingera, z wyrazem twarzy oscylującym gdzieś między rezerwą, a zaskoczoną kalkulacją. Potem zrobiła krok do przodu, aby sprawdzić stan Calata, ale natychmiast wycofała się powoli, trzymając na wpół uniesiony klucz.

Dasinger stał i spoglądał na nią z namysłem.

– No cóż – stwierdził sucho, – proszę się w końcu zdecydować! Po czyjej jest pani stronie?

Panna Mines zawahała się przez chwilę, ale opuściła klucz.

– Chyba po tej samej co pan, a przynajmniej tak mi się wydaje – uznała w końcu. – W tej sytuacji to będzie dużo lepsze wyjście. Za pomoc dla planeciarza, zamordowaliby mnie bez wahania.

****

Dasinger przyklęknął obok Calata, i zachowując zdrową ostrożność, pomimo że Flociarz zdawał się leżeć zupełnie nieruchomo, podniósł leżący przy nim nóż. Panna Mines podkręciła jasność światła w pomieszczeniu. Dasinger spytał:

– Co to było… bunt? Technicznie rzecz biorąc chyba jest pani dowódcą statku, nieprawda?

– Technicznie rzecz biorąc. – Zgodziła się z nim, dodając jeszcze: – Pokłóciliśmy się na temat spraw Floty.

– Rozumiem. My nazywamy to po prostu buntem. – Dasinger sprawdził stan leżącego, tak na wszelki wypadek. Calat jednak zdecydowanie nie udawał nieprzytomnego. Pytał więc dalej. – Czy naprawdę potrzebuje pani tych chłopaków do pomocy?

Duomart Mines pokręciła przecząco swoją blond głową.

– W ogóle mi są niepotrzebni. Latanie Mooncatem to robota dla jednej osoby.

– Odniosłem właśnie takie wrażenie– przyznał Dasinger. – Coś mi się wydaje, że Flota Willata postanowiła wytargować kilka ciepłych posadek, kiedy powiedziano mi, że razem z ich ścigaczem muszę wynająć trzyosobową załogę.

– Ehmm… hmm – Jej ton był zupełnie niezobowiązujący. – Zgadza się. Co ma pan zamiar z nimi zrobić?

– Czy jest jakieś miejsce, gdzie można by ich bezpiecznie zamknąć pod kluczem?

– Nie bezpiecznie. Ich kabiny są pod tym względem równie dobrym miejscem jak każde inne. Jeżeli jednak wystarczająco mocno się postarają, mogą wyrwać się z nich na wolność. Oczywiście kiedy będą próbowali to zrobić, z pewnością ich usłyszymy.

– No cóż, ten problem akurat możemy rozwiązać. – Dasinger wyprostował się, wyłowił z kieszeni klucz do swojej kabiny, i podał jej do ręki. – Beżowo-brązowa walizka, stojąca przy głowie mojej koi – powiedział. – Czy mogłaby pani przywieźć ją na tym małym podnośniku z magazynu z góry?

Żaden z Flociarzy, jeszcze nie zaczął się ruszać, kiedy kilka minut później, Duomart Mines wjechała z powrotem przez drzwi podnośnikiem grawitacyjnym, z dyndającą na przedzie walizką. Zatrzymała dźwig na środku pomieszczenia, ześlizgnęła się z siodełka z gibkim skrętem ciała, i wręczyła Dasingerowi klucz do jego kabiny.

– Dziękuję bardzo. – Dasinger zdjął walizkę z wysięgnika podnośnika, otworzył zamek i rozłożył ją szeroko. Wyciągnął dwie pary plastikowych kajdanek, świadomy tego, że panna Mines stoi tuż zanim, z zainteresowaniem przyglądając się wszystkiemu co udało jej się dojrzeć w głębi walizki. I tak prawdę mówiąc, nie mógł jej specjalnie winić za tę ciekawość. Miała bowiem okazję obejrzeć całą gamę urządzeń, które wprawiłyby w ekstazę zarówno zawodowego włamywacza, jak i szpiega wojskowego. Powstrzymała się jednak od wszelkich komentarzy.

Podobnie zrobił również Dasinger. Szarpnął Taunusa, przekręcając go placami do góry, zapiął na nadgarstkach Flociarza kajdanki, a potem odwrócił go z powrotem na brzuch. To samo zrobił z Calatem. Odwiesił następnie walizkę z powrotem na wysięgnik podnośnika, przerzucił nogę przez siodełko i usiadł w nim.

Panna Mines zauważyła:

– Na pana miejscu, przed pozostawieniem ich w kabinach, sprawdziłabym je dokładnie pod kątem broni i tym podobnych rzeczy.

– Tak też właśnie zamierzam zrobić. A tak, przy okazji, czy doktor Egavine wspominał coś, jak daleko mamy jeszcze do celu? – Dasinger wmanewrował podnośnik dźwigu nad Taunusa, opuścił jego belkę nieco ponad plecy Flociarza, i ostrożnie uniósł go do góry, z luźno zwisającymi nogami i rękoma.

Dziewczyna sprawdziła swój zegarek.

– Dokładnie mi tego nie powiedział – odparła, – ale w znajdującym się przed nami systemie G2 jest coś co wygląda na planetę typu ziemskiego. Jeżeli to prawda, to będziemy tam za około pięć godzin, w zależności od warunków podprzestrzennych, jakie panują w okolicy tego systemu. Doktor Egavine powinien pojawić się tutaj, na górze, za mniej więcej trzydzieści minut, żeby przekazać mi końcowe namiary. – Przerwała, a następnie dodała z ciekawością. – To pan też nie wie gdzie lecimy?

– Nie – odparł Dasinger. – Ja tylko finansuję podróż. To doktor jest tym który zajmuje się mapami i zdobywaniem wszystkich innych niezbędnych informacji.

– Myślałam, że panowie są partnerami.

– Bo jesteśmy. Doktor Egavine nie lubi jednak zbyt wiele mówić o pewnych sprawach. Przeprowadzę go tutaj ze sobą, jak tylko zamknę tych dwóch ptaszków na klucz. – Dasinger właśnie skończył podnosić Calata, wykręcił podnośnikiem i powoli pojechał w stronę drzwi, wioząc przed sobą wiszące ciała obu nieprzytomnych Flociarzy.

****

Doktor Egavine stał w otwartych drzwiach do swojego salonu, przyglądając się, jak Dasinger spokojnie wychodzi, z korytarza prowadzącego do kwater załogi i magazynów. Spoza pleców doktora, z salonu wyglądał Quist, jego służący.

– Co na miłość Boska, robił pan przed chwilą z tymi dwoma ludźmi? – zapytał Egavine, z dezaprobatą poruszając brwiami w górę i w dół. Doktor był wysokim, szczupłym człowiekiem, nieco po czterdziestce, o kościstych rysach twarzy i intensywnie spoglądających ciemnych oczach. Zazwyczaj ubierał się w czerń, nieodparcie przywodzącą na myśl przedsiębiorcę pogrzebowego. Dodał jeszcze: – Wyglądali na nieprzytomnych… i byli zakuci w kajdanki!

– Zgadza się, obydwaj – potwierdził Dasinger. – Zamknąłem ich we własnych kabinach.

– Dlaczego?

– Parę minut temu mieliśmy małą bijatykę, w przedziale sterowniczym. Jeden z chłopców obijał solidnie naszą panią pilot, tak więc musiałem mu trochę przyłożyć. W tym czasie ona przyłożyła drugiemu, który próbował zaatakować mnie przy użyciu noża. Ona twierdzi, ze oryginalnie dyskusja, dotyczyła spraw Floty… innymi słowy, podobno to nie nasza sprawa. Jednak osobiście, nie jestem tego tak do końca pewien. Jest w tej całej sytuacji coś zdecydowanie podejrzanego.

– Co niby takiego? – zapytał Egavine.

Dasinger odparł:

– Właśnie przed chwilą sprawdzałem, czy w kwaterach załogi nie ma jakiejś broni, i znalazłem coś, co sugeruje, że Flota Willata jest dużo bardziej zainteresowana tym co robimy, niż myśleliśmy wcześniej.

Egavine wyglądał na zaskoczonego. Rzucił szybkie spojrzenie wzdłuż korytarza prowadzącego do przedziału sterowniczego.

– Wydaje mi się – powiedział, ściszając nieco głos, – że powinniśmy kontynuować tę dyskusję za zamkniętymi drzwiami…

– Dobrze.

Quist, krzywonogi, żylasty mały człowiek, z dużym kartoflowatym nosem, i nieustannie przymrużonymi, niemal zamkniętymi, małymi oczkami, usunął się szybko do tyłu, z przejścia. Dasinger wszedł do środka. Egavine pociągnął drzwi, zamykając je za nimi starannie, a następnie spod stojącego w kabinie stołu, wyciągnął sobie krzesło. Dasinger usiadł naprzeciw niego.

– Co takiego pan znalazł? – zapytał doktor Egavine.

Dasinger zaczął opowiadać:

– Jak sam pan wie, myśleliśmy, że panna Mines jest na pokładzie jedynym członkiem Floty, który zna federacyjną translingwę. Jednak w środku komunikatora pokładowego w kwaterach załogi, było zamontowane urządzenie podsłuchowe. Jego ustawienia wskazują, że ludzie z Floty Willata umieścili pluskwy we wszystkich pozostałych kabinach Mooncata, a także –– co notabene zdaje się być nader interesującą kwestią –– w przedziale sterowniczym. Czy pan i Quist dyskutowaliście może jakieś szczegóły naszego projektu, od czasu pojawienia się na pokładzie?

– Wydaje mi się, że tak, i to przy kilku okazjach – niepewnie odparł Egavine.

– Lepiej więc załóżmy, że Taunus i Calat wiedzieli, że szukamy wraku statku, który zaatakował Asteroidy Doseya, i…

Egavine ostrzegawczo położył palec na ustach.

– Czy nie powinniśmy…?
– Och, teraz możemy już o tym swobodnie rozmawiać – zapewnił go Dasinger. – Wymontowałem to urządzenie i zostawiłem w swojej kabinie. W gruncie rzeczy, sprawa nie jest aż tak bardzo poważna, musimy tylko zachować pewną czujność. Ale oczywiście, kiedy będziemy mieli już towar na pokładzie, nie powinniśmy wracać na stację Floty. Podrzucenie nam tego rodzaju gadżetu wskazuje na niezbyt przyjazne zamiary… a także na raczej wyrafinowany poziom przestępczości w N-Flotach. Wrócimy bezpośrednio do Ośrodka. Być może będziemy musieli na kilka tygodni ograniczyć nasze racje żywnościowe, ale da się to zrobić. A tych tak zwanych członków załogi, będziemy po prostu trzymać pod kluczem.
Doktor odchrząknął znacząco.
– Panna Mines…
– Nie wydaje mi się, aby ona osobiście była wmieszana w jakieś pirackie projekty – odparł mu Dasinger. – W przeciwnym przypadku nie podrzuciliby pluskiew do jej kabiny, ani do pomieszczeń sterówki. Jeżeli pomachamy jej przed oczyma kilkoma gwiezdnymi hiacyntami, powinna z chęcią odwieźć nas z powrotem. Gdyby mocno się opierała, to wydaje mi się, że potrafię na tyle dobrze obsługiwać Mooncata, aby samemu nas stąd wydostać.
Doktor Egavine z zamyśleniem pociągał za płatek swojego ucha.
– Rozumiem. – Jego ręka przesunęła się w kierunku prawej klapy marynarki. – A co pan myśli o…
– Mógłby pan przez chwilkę zerknąć na to? – przerwał mu Dasinger. Kiwnął głową w stronę własnej ręki, leżącej przed nim na stole.
– Zerknąć…? – Egavine rozpoczął zadawanie pytania. Potem jego oczy otworzyły się szeroko z niepokojem.
Dłoń Dasingera przekręciła się nagle na bok w nadgarstku, a po chwili przekręciła się z powrotem do góry. Teraz jednak spoczywał w niej mały pistolet, a jego krótka i gruba lufa, pewnie wskazywała pierś Egavine’a.
– Dasinger! A co to ma…
– Niezła sztuczka, co? – skomentował Dasinger. – Broń w rękawie. Teraz siedźcie spokojnie i trzymajcie ręce dokładnie tak jak teraz. Jeżeli poruszycie się, pan albo Quist, zanim wam na to pozwolę, pan dostanie z niej pierwszy, panie doktorze!

****

Sięgnął lewą ręką przez stół, wsuwając ją pod prawą klapę marynarki Egavine’a i gwałtowanie wyszarpując to co było tam schowane. Był to czarny, płaski pojemnik, z wystającą z niego igiełką malutkiego rozpylacza. Wrzucił go sobie do kieszeni, mówiąc:
– Proszę spokojnie siedzieć na krześle, panie doktorze.

Następnie wstał i podszedł do Quista. Quist rzucał zaniepokojone spojrzenia na swojego pracodawcę, a z jego gardła wydobywał się cichy piszczący dźwięk.

– Nie mam zamiaru cię zranić – powiedział spokojnie Dasinger. – Po prostu połóż tylko ręce ma czubku głowy, i stój tak bez ruchu. Teraz przyjrzyjmy się tej rzeczy, którą zacząłeś wyciągać z kieszeni, chwilę wcześniej… Paralizator elektryczny, tak? To było niezbyt miłe z twojej strony, Quist! Spójrzmy, co jeszcze…

– Dobry Boże, Egavine – niebawem oznajmił z satysfakcją, – ten pański chłopak, to regularny chodzący arsenał! Dwa blastery, promiennik w ołówku, nóż, i do tego jeszcze paralizator… No dobrze, Quist. Idź tam i siadaj razem z panem doktorem. – Ponuro obserwował, jak mały człowieczek podchodzi do stołu, a potem uważnie włożył wszystkie znalezione śmiercionośne narzędzia, do jednej z kieszeni marynarki. Z drugiej kieszeni wyciągnął pojemnik, który zabrał Egavine’owi.

– Teraz, panie doktorze – powiedział, – porozmawiajmy sobie trochę. Naprawdę, z dużym niezadowoleniem widzę to, co tu mamy. Odkryłem, że przyniósł pan tę rzecz na pokład, zanim wylecieliśmy z Mezmiali, i oddałem próbkę jego zawartości do analizy. Powiedziano mi, że to środek hipnotyczny o niemal natychmiastowym działaniu, zarówno w kontakcie ze skórą, jak wdychany. Jakieś komentarze?

– Ależ oczywiście! – lodowatym tonem stwierdził Egavine. – Nie mam najmniejszego zamiaru zaprzeczać, że ten instrument, to spray hipnotyczny. Jak dobrze pan wie, nie znoszę pistoletów i innej podobnej broni, a my przecież zaangażowaliśmy się w takie sprawy, że może powstać konieczność obrony siebie samego, przed atakiem innej osoby. Jednak pańskie założenie, że przed chwilą miałem zamiar użyć tego sprayu na panu, jest po prostu śmieszne!

– Pewnie sam bym się z tego trochę pośmiał – odparł Dasinger, – gdyby Quist, dokładnie w tej samej chwili, kiedy pan sięgnął za klapę marynarki, nie wyciągnął do połowy tego paralizatora z kieszeni. Gdyby udało mi się uchylić przed tym sprayem, to dostałbym z paralizatora, co? Ta stawka jest trochę za wysoka, panie doktorze. Może i mówi pan prawdę, ale tak na wszelki wypadek, gdyby jednak żywił pan w stosunku do mnie jakieś nieprzyjazne zamiary –– a szczerze mówiąc tak to dla mnie wygląda –– podjąłem pewne działania zapobiegawcze.

Doktor Egavine przez chwilę wpatrywał się w niego, z ustami zaciśniętymi w wąską zawziętą linię.

– Jakie rodzaj działań zapobiegawczych ma pan na myśli?

Dasinger wyjaśnił:

– Zatrzymam ten hipnotyczny spray i torbę z brudnymi sztuczkami Quista, aż do chwili kiedy wylądujemy. Być może te rzeczy będą panu potrzebne na powierzchni planety, ale z całą pewnością są zbędne na pokładzie statku. Pan i ja przejdziemy teraz do przedziału sterowniczego, aby przekazać pannie Mines końcowe instrukcje co do parametrów lotu. Następnie pan razem z Quistem, pozostaniecie w tej kabinie, zamknięci na klucz, dopóki statek nie wyląduje. Nie chcę mieć na głowie innych zmartwień, kiedy będziemy podchodzić do lądowania. Jeżeli moja

podejrzliwość okaże się nieuzasadniona, z całą pewnością pana przeproszę… kiedy bezpiecznie znajdziemy się już z powrotem w Ośrodku.

****

– Czemu pański partner spoglądał na świat takim kwaśnym wzrokiem? – dopytywała się nieco później Duomart Mines, nawet na chwilę nie spuszczając oczu z ekranów wyświetlających dane dotyczące parametrów lotu. – Mieliście jakąś sprzeczkę?

Dasinger, stojąc za nią, w wejściu do małej kabiny sterówki, wzruszył tylko ramionami.

– Niezupełnie – powiedział. – Egavine próbował potraktować mnie hipnosprayem.

– Hipnosprayem? – zapytała młoda kobieta.

– To substancja chemiczna, która wywołuje u ludzi natychmiastowy trans hipnotyczny. Otwiera ich całkowicie na przekazywane im potem sugestie. Najczęściej wykorzystywana jest w hipnozie dla celów medycznych. Jak również kryminalnych.

Odwróciła się od konsoli sterowania, aby na niego spojrzeć.

– Dlaczego pański partner miałby chcieć pana zahipnotyzować?

– Nie wiem – odparł Dasinger. – Nie chce się nawet przyznać, że miał zamiar to zrobić.

– Czy on jest przestępcą?

– No cóż, nie mogę powiedzieć, że nie jest – z zastanowieniem stwierdził Dasinger, – ale również nie jestem w stanie tego udowodnić.

Duomart ściągnęła usta, spoglądając na niego z zamyśleniem.

– A jak jest w pańskim przypadku? – spytała.

– Nie, panno Mines, ja mam olbrzymi szacunek dla prawa. Jestem zwykłym, prostym biznesmenem.

– Zwykły biznesmen, który lata swoim własnym krążownikiem poza Ośrodek, zapuszczając się na cztery tygodnie w przestrzeń N-Flot?

– Właśnie tego rodzaju biznesem się zajmuję – wyjaśnił Dasinger. – Jestem właścicielem firmy transportowej, czarterującej statki.

– Rozumiem – powiedziała. – No cóż, stanowicie panowie bardzo dziwną parę partnerów…

– Rzeczywiście, pewnie tak to może wyglądać. Nawiasem mówiąc, czy przy jakiejś okazji pani i doktor Egavine –– ewentualnie pani, doktor Egavine i jego służący –– nie pozostawaliście razem, gdzieś na statku, na osobności? Na przykład, czy poza tymi przypadkami gdy przychodziliśmy tutaj, żeby dać pani dalsze instrukcje odnośnie lotu, nasz drogi doktor nie wchodził kiedyś do przedziału sterowniczego?

Pokręciła przecząco swoją blond głową.

– Nie. Widziałam go jedynie przy tego typu okazjach.

– Czy jest pani naprawdę tego pewna? – zapytał.

Duomart skinęła głową bez najmniejszego wahania.

– Absolutnie pewna!

Dasinger wyciągnął z kieszeni tubkę z jakąś maścią, odkręcił jej zakrętkę i wycisnął na koniec palca kroplę czarnej, oleistej substancji.

– Czy mogłaby pani na chwilę podwinąć rękaw? – spytał. – Troszeczkę powyżej łokcia…

– Po co?

– Dlatego, że ten hipnospray działa właśnie w taki sposób – wyjaśnił Dasinger. – Daje pani swojej ofierze dawkę tego świństwa, mówi jej pani co ma zrobić, i zazwyczaj zostanie to zrobione. A jeżeli stosuje go pani nielegalnie, to jedną z pierwszych rzeczy, jakie powie pani ofierze, jest aby zapomniała, że w ogóle została popsikana. Ten środek został zaprojektowany dla specyficznych celów, przełamywania oporów przeciwko rozkazom hipnotycznych. Proszę być teraz dobrą dziewczynką i podwinąć rękaw, a ja tylko rozetrę trochę tego na pani ręce.

– Proszę pana, na mojej ręce nie będzie pan niczego rozcierał! – oświadczyła zimno Duomart.

Dasinger z rezygnacją wzruszył tylko ramionami, zakręcił tubkę i włożył ją z powrotem do kieszeni.

– A więc, niech będzie tak jak pani chce – powiedział. – Próbowałem tylko…

Rzucił się nagle w jej kierunku.

Duomart stawiła mu całkiem niezły opór. Jednak po minucie, czy dwóch, leżała już na podłodze, jej ciało i jedną rękę ścisnął kolanami, jednocześnie rozpinając mankiet munduru na drugiej ręce i podwijając rękaw do góry. Wyciągnął tubkę z maścią antyhipnotyczną i roztarł jej kilka kropel na wklęśnięciu łokcia. Schował tubkę z powrotem do kieszeni, i potem przytrzymał dziewczynę przez niecałą kolejną minutę. Dyszała, ciężko łapiąc oddech, jej niebieskie oczy płonęły furią, a mięśnie były napięte do granic możliwości.

****

Nagle poczuł, że jej ciało się rozluźniło. Na twarzy dziewczyny pojawiło się uczucie oszołomienia i zaskoczenia.

– Dlaczego – zaczęła z niedowierzaniem, – on to zrobił…

– Potraktował panią tym sprayem, co? – stwierdził z satysfakcją Dasinger. – Byłem niemal pewien, że to zrobił.

– Dlaczego to… Powiedział, na każde jego skinienie i zawołanie! Taaak…, no to teraz zobaczymy… proszę mnie puścić, Dasinger! Niech no pan tylko poczeka, aż dostanę w swoje ręce tego pańskiego chuderlawego partnera!

– Proszę na razie się uspokoić.

– Uspokoić się! A niby dlaczego miałabym to…

– Byłoby lepiej – wyjaśnił Dasinger, – gdyby Egavine myślał, że pani ciągle pozostaje pod wpływem tego środka.

Rzuciła mu groźne spojrzenie, ale po chwili na jej twarzy gniew ustąpił namysłowi.

– Hej! A więc uważa pan, że chodzi nie tylko o zapędy erotyczne tego zdeprawowanego starego capa, i że być może, pałęta mu się po głowie jakaś jeszcze groźniejsza myśl?

– Jest taka możliwość, i to całkiem realna. Czemu więc nie poczekać, żeby się dowiedzieć? Maść będzie panią uodparniać na ewentualne dalsze sztuczki.

Panna Mines przez kilka sekund mierzyła go badawczym wzrokiem, a potem skinęła głową.

– W porządku! Może pan mnie teraz puścić. Jak pan myśli, co on kombinuje?

– Z doktorem Egavine, zawsze trudno powiedzieć. To naprawdę chytra sztuka. – Dasinger wyswobodził się, wstał i podał jej rękę, pomagając podnieść się z podłogi.

– Z pewnością pana również będą chcieli uciszyć tym hipno cholerstwem, co nie?! – zorientowała się ze zdumieniem.

Dasinger potwierdził głową.

– Z pewnością będą chcieli! – Potem dodał jeszcze: – Będę trzymał doktora i jego małego przydupaska pod kluczem, aż do czasu kiedy nie znajdziemy się na planecie. To daje pani i mnie swobodę w trakcie dalszego lotu.

Duomart popatrzyła na niego.

– Tak, daje – zgodziła się po chwili.

– Czy umie pani używać broni?

– Oczywiście. Ale nie wolno było mi… nie wzięłam żadnej ze sobą w tę podróż.

****

Sięgnął pod połę marynarki i wyjął małą broń w płóciennej kaburze. Duomart zerknęła tylko na nią, a potem jej wzrok powrócił na jego twarz.

– Niech pani przypnie to sobie do paska – powiedział Dasinger. – To jest dobry, mały porażacz, o zasięgu pięćdziesięciu stóp, może być bezpiecznie używany na pokładzie statku kosmicznego. Naładowany do pełna, wystarczy na osiemdziesiąt strzałów. Możemy, albo i nie, wpaść w tarapaty. Jednak nawet jeśli nic się nie stanie, to mając coś takiego pod ręką, przynajmniej będzie czuła się pani trochę pewniej.

Duomart włożyła pistolet do kabury i przypięła ją sobie do paska. W zamyśleniu wysunęła koniuszek języka spomiędzy warg, wsunęła go z powrotem, na kilka sekund skierowała wzrok na ekrany pilota, a potem spojrzała z ukosa na Dasingera i klepnęła przypiętą do boku kaburę.

– To kolejna rzecz, która wszystko zmienia. – oznajmiła.

– Zmienia, co?

– Powiem panu za minutkę. Niech pan siada, Dasinger. Muszę zrobić kilka ręcznych korekt kursu… – Opadła na fotel pilota, wyciągnęła ręce, kładąc je na sterach statku, i wydawało się, że kompletnie o nim zapomniała.

Dasinger usiadł w fotelu po jej lewej stronie, przypalił papierosa, i obserwował ją wciągając dym oraz od czasu do czasu zerkając na ekrany. Zręcznymi ruchami rąk wprowadzała i wyprowadzała Mooncata we frędzle węzła naprężenia grawitacyjnego, szybko wychodząc w czystą przestrzeń krótkim pchnięciami w dźwignię steru i przebiegając palcami prawej dłoni po rzędzie przycisków sterowania szybkością statku, odpowiednio wciskając je lub wyciskając.

****

– **K**awałek niezłego pilotażu – zauważył Dasinger.

Duomart uniosła jedno ramię w geście lekkiego wzruszenia ramion.

– To moja praca. – Jej twarz zachowywała poważny wyraz. – A pan pewnie zastanawia się dlaczego przecisnęłam nas przez środek tego węzła, zamiast po prostu go oblecieć?

– Ehmm… hmm, no faktycznie trochę tak – przyznał Dasinger.

– To zaoszczędziło nam pół godziny czasu, jaki potrzebny będzie na dostanie się na tę pańską planetę – wyjaśniła. – To jest, oczywiście, jeśli nadal chce pan tam lecieć. Widzi pan, byliśmy śledzeni.

– Przez kogo?

– Nazywają go Spy. Nie licząc Mooncata, to najszybszy statek we Flocie. Wyposażony jest w działa, a jego normalna obsada to dwudziestu uzbrojonych ludzi.

– Cały pomysł polegał więc na tym, żebyśmy doprowadzili ich do tego, czego szukamy, a potem oni nam to odbiorą? – spytał Dasinger.

– Zgadza się. Ja miałam niczego o tym nie wiedzieć. Wie pan co to jest Szara Flota?

Dasinger kiwnął potwierdzająco głową.

– Niezależni, którzy stali się przestępcami.

– Tak. Flota Willata była praworządną organizacją, aż do okresu mniej więcej cztery lata temu. Wtedy to przejęli ją Taunus, Calat i ich gang. Tak więc, panie Dasinger, właśnie tych dwu, których niedawno zakuł pan w kajdanki, to szefowie Floty. Teraz staliśmy się Szarą Flotą. Miałam więc swoje własne plany związane z tą wyprawą. Gdybym zdołała jakoś dotrzeć do którejś z innych N-Flot, albo do Ośrodka, to być może udałoby mi się coś zrobić z Taunusem. Po tym jak wylądujemy na planecie, miałam zamiar ukraść Mooncata i wystartować nim sama.

– Dlaczego mówi mi pani o tym wszystkim?

Panna Mines lekko poczerwieniała.

– No cóż, dał mi pan broń – powiedziała. – Dał pan również po gębie Taunusowi i uwolnił mnie spod wpływu tego hipno świństwa… To znaczy,

chciałam powiedzieć, że w tej sytuacji puszczenie pana kantem, byłoby dla mnie bardzo trudne. Poza tym, po tym wszystkim, co panu powiedziałam, na pewno już pan nie wróci do Floty Willata, niezależnie od tego co się stanie. Dzięki temu będę więc mogła dostać się do Ośrodka. – Przerwała na chwilę. – No dobrze, co teraz ma pan zamiar zrobić? Zwinąć się, dopóki jeszcze łatwo można stąd uciec, czy spróbować szybkiego wypadu po swoją zdobycz, zanim dotrze do nas Spy?

– Jak daleko jest za nami? – zapytał Dasinger.

Duomart odparła:

– Dokładnie nie wiem. To wszystko było tak. Kiedy wystartowaliśmy, Taunus rozkazał mi, żeby Mooncat pod żadnym pozorem nie przekraczał trzech czwartych swojej maksymalnej szybkości. Domyśliłam się już wtedy, ze cokolwiek by nie planował, musi być w to wmieszany Spy. Przy tej szybkości jest w stanie za nami nadążyć, a zasięg jego detektorów jest znacznie większy niż Cata. Mógł więc pozostawać dostatecznie daleko z tyłu, by przez całą podróż nie pojawić się na naszych ekranach.

– Wczoraj, późnym wieczorem, wpadliśmy w rozległy obszar turbulencji, co pozwoliło mi na pewne gierki. Przed nami była niewielka grupa trzech systemów gwiezdnych. Jeden z nich musiał być naszym celem, chociaż doktor Egavine jeszcze mi wtedy nie powiedział który. Zrobiłam unik wokół kilku wirów, skręciłam w tył i zobaczyłam lecącego swoim kursem Spy'a. Wtedy mu uciekłam –– na pełnej szybkości. Spy zniknął z naszych detektorów dwie godziny później, i z pewnością też nie utrzymał nas na swoich dłużej niż przez kolejną godzinę.

– Założą więc, że kierujemy się do jednego z tych trzech systemów, ale nie wiedzą do którego z nich. Muszą więc zacząć nas szukać. W systemie do którego lecimy jest tylko jedna planeta ziemiopodobna. W pozostałych, może nie ma żadnej, ale mogą być też nawet cztery lub pięć. Na nich właśnie będą nas szukać, ponieważ skafandry ratownicze, które wiezie pan ze sobą, przeznaczone są jedynie do zwykłych prac podwodnych. Oczywiście, po sposobie, w jaki im uciekłam, od razu się domyślili, że z planami Taunusa, coś poszło nie tak.

****

Dasinger pocierał w zamyśleniu podbródek.

– A co, jeśli będą mieli szczęście i polecą prosto za nami, na planetę?

– Wtedy – odparła panna Mines, – powinien pan i tak mieć, jakieś sześć do siedmiu godzin, na zlokalizowanie poszukiwanego towaru, załadowanie go na pokład i ucieczkę z planety.

– Powinienem mieć?

Wzruszyła ramionami.

– Mamy nad nimi pewną przewagę, ale jak bardzo uda nam się w końcu ich wyprzedzić, to w znacznym stopniu zależy od parametrów lotu, na jakie zdecydują się w pogoni za nami. Mogą nawet przedrzeć się przez

sam środek, tak jak my to zrobiliśmy. Poza tym jest jeszcze jedna, bardzo niefortunna, rzecz. System, który właśnie wskazał nam doktor Egavine, jest najbliższym z całej trójki, patrząc z miejsca w którym urwałam się im z detektorów. Prawdopodobnie zdecydują się przeszukać go na początku. Rozumie pan?

– Tak – odparł Dasinger. – No to, nie jest zbyt dobrze, co nie? – Z namysłem postukał się pięścią w szczękę. – Dlaczego Taunus tak panią okładał, kiedy wszedłem tu wcześniej?

– Och, tych dwu zbirów, złapało mnie na tym że lecę z pełną szybkością. Taunus kompletnie się wściekł. Nie mógł wiedzieć, czy Spy wciąż ma na nas namiar, czy już go stracił. Oczywiście nie powiedział mi o tym ani słowa. To lanie, które właśnie szykował się aby mi sprawić, miało być tylko karą za zlekceważenie jego instrukcji. On po prostu uwielbia robić takie rzeczy. – Przerwała ponownie. – No dobrze, a więc chce pan jednak spróbować tej planety?

– Tak – powiedział Dasinger. – Gdybyśmy zdecydowali się odłożyć całą sprawę na później, to niestety są duże szanse na to, że Spy rozglądając się za nami, wpadnie prosto na to czego szukamy. Spróbujemy tak wszystko zaaranżować, abyśmy mogli szybko się stamtąd ulotnić, gdyby nie dopisało nam szczęście.

Duomart skinęła głową.

– Pewnie nie powie mi pan, po co pan tam chce lecieć?

– A czemu by nie. W tych okolicznościach powinna nawet pani wiedzieć.

****

– **O**czywiście – Dasinger konkludował minutę lub dwie później, – wszystko, czego chcemy, to legalna nagroda za ich odzyskanie.

Panna Mines spoglądając na niego, wyglądała na nieco wstrząśniętą.

– Macie zamiar rozegrać to w *legalny* sposób?

– Zdecydowanie.

– Nawet w takim przypadku – powiedziała, – jeżeli ten wrak to naprawdę statek, który zaatakował Asteroidy Doseya, i kamienie ciągle są na pokładzie… wasza dwójka będzie miała do podziału między siebie jakieś dziesięć milionów kredytów!

– Z grubsza licząc – zgodził się Dasinger. – Doktor Egavine dowiedział się o całej tej sprawie od jednego z pani rodaków, z Floty Willata.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia.

– Co zrobił?!

– Mniej więcej cztery lata temu, Flota straciła jednostkę nazywaną Handing's Scout, nieprawda?

– Trzy i pół roku temu – skorygowała. Zastanawiała się przez chwilę. – A więc tym drugim wrakiem, tam na dole, jest Handing's Scout?

– Tak. Ocalała jedna osoba… o ile nam dotychczas wiadomo. Być może przypomina pani sobie jego nazwisko. Leed Farous.

– Taki mały ćpunek, uzależniony od kwilu. Był asystentem nawigatora. Jak doktor Egavine… ?

Dasinger wyjasnił:

– Farous umarł w szpitalu Federacji na Mezmiali dwa lata temu, bez wątpienia na skutek skumulowanych skutków uzależnienia od kwilu. Został znaleziony w przestrzeni Ośrodka, w szalupie ratunkowej, która jak później ustaliliśmy, była jedną z dwóch takich łodzi na Handing's Scout.

– W przestrzeni Ośrodka? Jakim cudem? Tak daleki lot, jedną z tych małych łódek… to przecież musiało zająć mu niemal rok!

– Z tego, co dowiedział się doktor Egavine – potwierdził Dasinger, – rzeczywiście trwało to tak długo. Nie udało się wtedy zidentyfikować szalupy ratunkowej. Tak samo Farousa. Był kompletnie oszołomiony przez kwil… jego umysł był zupełnie niespójny, faktycznie widocznie już wcześniej znalazł się w terminalnym stadium uzależnienia. Podjęte zostały intensywne wysiłki, w celu jego identyfikacji, ponieważ w szalupie ratunkowej znaleziony został jeden, duży gwiezdny hiacynt… była wiec możliwość, że jest to jeden z kamieni utraconych przez Kompanię Asteroidów Dorseya. Ale Farous umarł kilka miesięcy później, nie odzyskując zmysłów, w stopniu na tyle dużym, aby udało się uzyskać od niego jakieś informacje.

– Doktor Egavine, był lekarzem prowadzącym jego przypadek, i w końcu także to on podpisał akt zgonu. Nasz doktor pracował w tym szpitalu jeszcze przez mniej więcej rok, a potem nagle zrezygnował, ogłaszając wszem i wobec, że zamierza zająć się prywatnymi badaniami. Oczywiście, zanim Farous umarł, doktor Egavine wydobył z niego całą historię.

Panna Mines wyglądała na zaintrygowaną.

– Ale jeśli Farous nigdy nie odzyskał zmysłów…?

– Doktor Egavine jest hipnoterapeutą, o niesamowitych wręcz zdolnościach – odparł Dasinger. – Leed Farous nie umarł na tyle szybko, aby nie dało się wyciągnąć z niego informacji, przy umiejętnym wykorzystaniu leków hipnotycznych.

– Dlaczego więc inni…?

– Och, oczywiście próbowano to robić. Powinna pani jednak pamiętać – powiedział Dasinger, – jaki miałem problem, aby zbliżyć się do pani z antyhipnotykiem. Nasz dobry doktor dostał się do Farousa jako pierwszy, i to wszystko. Zamiast kilku minut, jakie spędził przy pani, mógł godzina za godziną, zajmować się jego uwarunkowaniem. Późniejsi przybysze, po prostu nie mieli szansy, aby się do niego przebić.

****

Duomart Mines milczała przez kilka chwil, a potem zapytała:

– Po co więc wasza dwójka przyleciała na stację Floty Willata i wynajęła jeden z naszych statków? Pański krążownik jest co prawda dużo wolniejszy od Mooncata, ale spokojnie mógłby pan nim tutaj dolecieć.

Dasinger odparł:

– Doktor Egavine pomylił się w jednym punkcie. Trudno go zresztą za to specjalnie winić, ponieważ nawigacja międzygwiezdna nie jest jego specjalnością. Punkty odniesienia na mapach jakie miał od Farousa, okazały się być pozbawione sensu, kiedy porównywało się je z mapami gwiazd używanymi w Federacji. Potrzebna nam była jakaś możliwość konfrontacji ich z mapami waszej Floty. Właśnie to było powodem naszego przylotu.

– Rozumiem – Duomart rzuciła mu kose spojrzenie, i zauważyła: – Chyba zdaje pan sobie sprawę, że sposób w jaki pan to rozegrał, jest nieco idiotyczny.

– A niby to czemu?

– Doktor Egavine wykończył starego Farousa, nieprawda?

– Mogło tak być – ustąpił Dasinger. – Teraz będzie to już niemożliwe do udowodnienia. Nie można zmusić człowieka, żeby zeznawał sam przeciwko sobie. Oczywiście, bez wątpienia prawdą jest, że Farous zmarł, z punktu widzenia doktora Egavine'a, w bardzo dogodnym momencie.

– A więc – powiedziała, – jak człowiek takiego pokroju, mógłby się satysfakcjonować połową premii za odzyskanie hiacyntów, jeżeli widziałby szanse na spokojną ucieczkę z całym łupem z Asteroidów Doseya.

– To jest możliwe – z namysłem odparł Dasinger. – Z drugiej jednak strony, człowiek, który zadał sobie tyle trudu, by morderstwo popełnione w celu uzyskania legalnej możliwości zdobycia sześciu milionów kredytów, było nie do udowodnienia, może nie chcieć wystawiać swego szczęścia na dalsze próby. Wie pani przecież, że ustawa o ratownictwie kosmicznym mówi, że jeśli z związku z tego typu operacją uda się wykazać popełnienie czynu kryminalnego, lub nawet jego zamiar, osoba winna, automatycznie traci wszelkie uprawnienia do roszczeń do nagrody.

– Tak, wiem… no i oczywiście – stwierdziła panna Mines, – pan również niekoniecznie musi być taką znowu białą lilią. To kolejna możliwość. A przecież jest jeszcze jedna. Czy nie jest pan czasami detektywem Federacji, co?

Dasinger zamrugał oczyma. Po chwili odpowiedział:

– Całkiem niezły strzał. Ale ja nie pracuję dla Federacji.

– Tak? A dla kogo pan pracuje?

– W tej chwili, i to pośrednio, dla Kompanii Asteroidów Doseya.

– Ubezpieczenie?

– Nie. Gdy umarł Farous, Asteroidy Doseya zatrudniły do zbadania sprawy agencję detektywistyczną. Reprezentuję agencję.

– Agencja otrzyma nagrodę?

– Taka jest umowa. Albo dostarczymy towar, albo nie dostaniemy niczego.

– A doktor Egavine?

Dasinger wzruszył obojętnie ramionami.

– Jeżeli doktor nie zacznie za bardzo śmierdzieć, nadal pozostaje uprawniony do połowy nagrody za odzyskanie.

– A co ze sposobem w jaki wydobył informacje z Farousa? – spytała.

– Z każdego punktu widzenia, była to procedura w najwyższym stopniu nieetyczna. Nie ma jednak żadnych dowodów na to, by Egavine złamał jakiekolwiek prawo.

Panna Mines, przez chwilę mierzyła go uważnie spojrzeniem. Jej oczy były jasne i żartobliwie błyszczały.

– Mam w stosunku do pana pewne dziwne przeczucia – powiedziała. – Ja…

Ze wskaźnika naprężeń grawitacyjnych dobiegł cichy terkot. Dziewczyna szybko odwróciła głowę, mówiąc:

– Cat się skarży… Wygląda, że trafiliśmy w pierwsze naprężenia przestrzenne systemu. – Wślizgnęła się z powrotem w fotel pilota. – Za chwilę do pana wrócę…

****

Dasinger również na krótko wyszedł. Kiedy wrócił do przedziału sterowniczego, Duomart siedziała rozluźniona w fotelu pilota, a przed nią stała kawa i kanapka.

– Co robią nasi buntownicy? – spytała na jego widok.

– Jedli aż im się uszy trzęsły, nic nie mówili i nie sprawiali mi żadnych kłopotów – odparł Dasinger. – Nadal próbują udawać, że nie rozumieją translingwy Federacji. Doktor Egavine był nieco nadąsany. Chciał, żeby go wypuścić tutaj, aby mógł obserwować lądowanie. Powiedziałem mu, że może sobie wszystko obejrzeć na ekranie komunikatora swojej kabiny.

Panna Mines skończyła swoją kanapkę, mocno nad czymś zamyślona.

– Zastanawiałam się nad jedną sprawą, wie pan… skąd pan jest taki pewny, że doktor Egavine powiedział panu prawdę, o tym czego dowiedział się od Leeda Farousa?

– Analizowałem nagrania, zrobione przez doktora Egavine'a w szpitalu, podczas jego sesji z Farousem. Mógł zatrzymać dla siebie kilka szczegółów, ale nagrania były dosyć dokładne – wyjaśnił jej Dasinger.

– A więc Farous odpływa po szprycy z kwilu – myślała głośno, – i nie ma nawet pojęcia że w tym czasie wylądowali. Kiedy dochodzi do siebie, Scout stoi na ziemi, silnik numer trzy jest rozwalony w kawałki, śluza otwarta, a na pokładzie, ani w zasięgu wzroku nie widać nawet żywej duszy.

– Wtedy zauważa w pobliżu inny wrak, również z otwartą śluzą. Idzie do niego, w środku widzi wszędzie pełno porozrzucanych jakichś szczątków ludzkich i rzeczy, podnosi gwiezdny hiacynt, i z rejestrów statku dowiaduje się, że w ładowni na dole, pod sześćdziesięcioma stopami wody, znajduje się hermetycznie zamknięte pomieszczenie, niemal całe wypełnione skrzyniami z kamieniami…

– Dokładnie tak to szło – zgodził się Dasinger.

– We Flotach – zauważyła, – jeżeli słyszymy o jakiejś planecie, na której załogi kilku statków znikły tajemniczo, jakby rozpłynęły się w powietrzu, nazywamy ją planetą widm. I zwykle trzymamy się od niej z daleka. – Przez chwilę ścisnęła lekko dolną wargę między zębami. – Czy myśli pan, że doktor Egavine wziął pod uwagę aspekt kwilu?

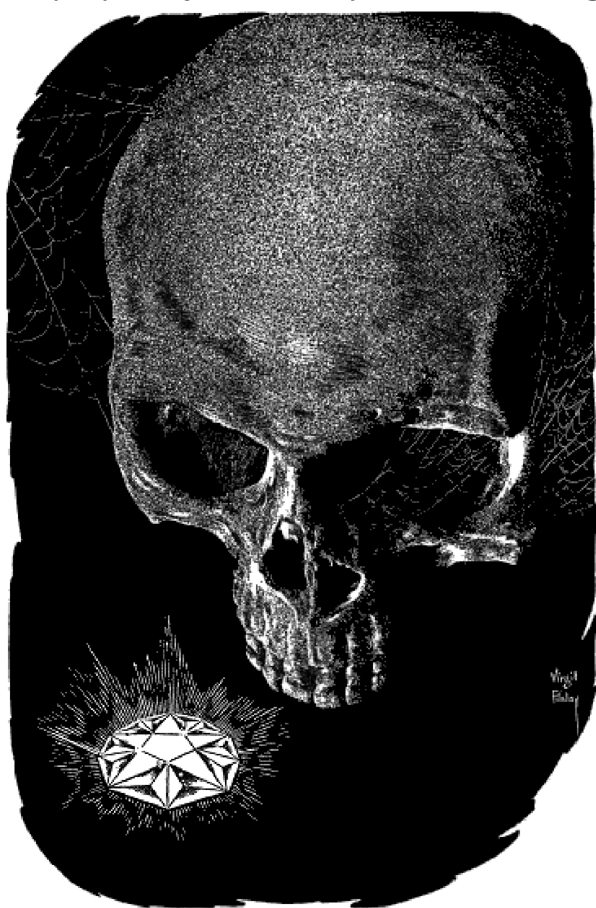
Dasinger kiwnął potwierdzająco głową.

– Jestem tego pewien. Oczywiście, to jest tylko przypuszczenie, że właśnie kwil uratował Farousa. Ta substancja nie posiada żadnej znanej wartości medycznej. Ale jeśli jedynym uratowanym członkiem załóg dwu statków kosmicznych, okazuje się być ćpun na kwilu, to ta kwestia musi zostać wzięta pod uwagę…

– Nikt inny na Handing's Scoucie nie brał kwilu – powiedziała Duomart. – Wiem to z całą pewnością. W całej Flocie Willata, nie ma zresztą wielu takich, którzy to robią. – Zawahała się na chwilę. – Wie pan, Dasinger, może powinnam znowu go spróbować! Być może jeśli wstrzyknę go sobie bezpośrednio, to tym razem…

Dasinger przecząco pokręcił głową.

– Jeżeli już ten niewielki płatek, jakiego pani spróbowała, spowodował, że poczuła się pani senna, to nawet jedna czwarta standardowej działki, uśpi panią kamiennym snem na godzinę lub dwie. Kwil po prostu tak działa na wielu ludzi. To zresztą jest jednym z powodów niewielkiej popularności tego narkotyku.



– A jak oddziaływuje on na pana? – zapytała.

– Do pewnego stopnia, zależy to od wielkości dawki. Czasami osłabia on moje zdolności fizyczne i mentalne. Innym razem nie ma żadnych skutków, o których byłbym w stanie cokolwiek powiedzieć, po ustaniu jego działania. Miewam po nim potem chwilowe halucynacje, co oczywiście jest bardzo rozpraszające, kiedy ma się coś do zrobienia. Ten halucynacyjny kac wygląda na kolejną dosyć powszechną reakcję.

Podsumował:

– Ponieważ pani nie może przyjąć narkotyku i zachować świadomości, musi pani po prostu pozostać na pokładzie zamkniętego statku. Tym bardziej, że i tak przez większość czasu, kiedy będziemy na planecie, lepiej będzie trzymać Mooncata w powietrzu, w pełnej gotowości do lotu.

– A co z Taunusem i Calatem?

– Oni oczywiście idą ze mną. Jeżeli to właśnie kwil pozwala na utrzymanie się przy życiu tam na dole, mam go wystarczająco dużo dla wszystkich na pokładzie. A jeżeli zwali ich tam z nóg, to tylko lepiej, bo nie będą mi sprawiali kłopotów.

****

– **W**ygląda, jakby ktoś, tam na dole, rozpalił ogniska sygnałowe! – Szczupły palec Duomart wskazywał na jasny punkt na panelu pokazującym obraz powierzchni. – Mamy tutaj słup dymu bijący z ziemi, gdzieś za tą wielką kępą drzew!... Dwie i dziewięć dziesiątych mili na północ i pod górę od wraków.

Z wiszącego na ścianie ekranu rozległ się ostry głos doktora Egavine'a:

– Dym? A więc Leed Farous nie był jedynym ocalałym?

Duomart posłała mu zimne spojrzenie.

– Być może to jakieś tutejsza żyjąca istota, która potrafi rozpalić ogień. To nie byłoby znowu takie niezwykłe. – Odwróciła się w stronę Dasingera. – Żeby zauważyć nas w miejscu, w którym się znajdujemy, potrzebny byłby chyba jakiś ręczny detektor, ale to faktycznie wygląda jak sygnał wezwania pomocy. Jeżeli to są ludzie z tamtych wraków, dlaczego nie użyli drugiej szalupy ratunkowej Scouta?

– Czy to możliwe, żeby ta druga szalupa ciągle była sprawna? – spytał Dasinger.

Duomart skierowała panel obserwacji naziemnej z powrotem na Scouta.

– Niech pan sam tylko spojrzy – odparła. – Podczas takiego lekkiego wypadku, jaki tu widzimy, nie powinna ulec zniszczeniu. Te łodzie są tak skonstruowane, aby wytrzymać naprawdę solidne wstrząsy i uderzenia. A co innego mogłoby ją uszkodzić?

– Farous, zanim odleciał, mógł ją uczynić niezdatną do użytku – powiedział Dasinger. – Chciał wrócić tutaj z Ośrodka z ekspedycją, aby odzyskać hiacynty, być może więc zabezpieczył się przed możliwością, że w międzyczasie ktoś inny również wpadnie na pomysł opuszczenia planety. – Spojrzał w górę, na ekran. – Co pan o tym myśli, panie doktorze? Czy Farous robił może jakieś wzmianki na ten temat?

Doktor Egavine przez chwilę zdawał się lekko wahać.

– Tak właściwie, to robił. Farous pokonał już mniej więcej jedną trzecią drogi do Ośrodka, kiedy uświadomił sobie, że pozostawienie drugiej łodzi w stanie zdatnym do użytku, być może było błędem. Wtedy jednak było już zbyt późno, żeby zawrócić, a w dodatku był niemal pewien, że nikt inny nie ocalał.

– A więc ta szalupa ratunkowa, ciągle powinna być w dobrym stanie?

– Na pewno w takim stanie była, kiedy Farous stąd odlatywał.

– No cóż, ktokolwiek jest tam na dole, być może po prostu nie potrafi jej obsługiwać.

Duomart zdecydowanie pokręciła przecząco głową.

– To także nie wchodzi w rachubę! – stwierdziła. – Wszystkie szalupy ratunkowe naszej Floty pochodzą ze starego liniowca Grand Commerce, który poszedł na złom jakieś osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat temu. Zostały zaprojektowane tak, że każdy głupiec potrafi je bez trudu obsłużyć, a ustawienia nawigacyjne są w pełni zautomatyzowane. Ale pomyślcie panowie, gdyby tam w dole, to był ogień sygnałowy tubylców – – a musieli by mieć naprawdę bardzo ostry wzrok –– to sytuacja wyglądałaby zupełnie inaczej! Takie istoty z pewnością bałyby się nawet podchodzić do Scouta. Panie Dasinger, czy mam skierować Cata w stronę tego dymu?

– Tak. Musimy zbadać, co oznacza ten sygnał, zanim spróbujemy zbliżyć się do wraków. Panie doktorze, czy uważa pan wykonane przez pannę Mines testy biologiczne planety za wystarczające?

– Analiza wydaje się dosyć dokładna – uznał doktor Egavine, – a wszystkie wykrywalne źródła problemów, pokrywane są przez wybraną surowicę Floty.

****

Dasinger polecił więc krótko:

– No dobrze, proszę więc przygotować się na natychmiastowe lądowanie. Tam na ziemi, zostanie nam mniej niż godzina światła dziennego, ale noc jest tutaj taka krótka, że możemy zlekceważyć ten czynnik. – Rozłączył połączenie z kabiną doktora Egavien'a, i zwrócił się do Duomart: – Mówi więc pani, że nasze komunikatory naręczne mają zasięg pięciu mil?

– Nieco ponad pięć.

– A więc – stwierdził Dasinger, – będziemy utrzymywać panią i Cata na wysokości dokładnie pięciu mil, przez dziewięćdziesiąt pięć procent czasu, jaki spędzimy na planecie. Jeżeli Spy pojawi się, kiedy będzie pani w górze, to jak dużo czasu będziemy potrzebować, żeby się stąd ulotnić?

Wzruszyła ramionami.

– To w dużym stopniu zależało będzie od tego, w jaki sposób tu przylecą. Moje detektory z pewnością będą mogły wykryć Spy w kosmosie, zanim ich detektory wykryją Cata na powierzchni planety. Jeżeli zauważymy ich z daleka, kiedy jeszcze będą się zbliżali, powinniśmy mieć jakieś piętnaście minut. Jeżeli jednak pokażą się dopiero na horyzoncie, w atmosferze, albo wyjdą z podprzestrzeni tuż nad nią, to zupełnie co innego. Jeśli błyskawicznie się stamtąd nie ruszę, szybko mnie przechwycą… i łup!

Dasinger powiedział:

– A więc na te możliwości musi pani najbardziej uważać. Jak pani myśli, czy w razie pościgu zdoła pani zostawić Spy tak daleko za sobą, żeby mogła pani tu po nas wrócić?

– Nie będą za mną gonić tak daleko – odparła Duomart. – Wiedzą, że jeśli Cat naprawdę się postara, to bez trudu może zostawić ich daleko w tyle. A więc jeśli nie uda się im przygwoździć mnie w kilku pierwszych minutach pościgu, zawrócą, żeby się rozejrzeć co też tutaj nas tak zainteresowało. – Po chwili dodała jeszcze: – A jeśli zobaczą, że nie uciekłam im Catem od razu, tylko staram się trzymać tuż przed ich nosem, natychmiast będą wiedzieli, że próbuję ich od czegoś odciągnąć.

Dasinger skinął głową.

– No cóż, a więc w takim przypadku będziemy zdani sami na siebie, a pani zadaniem będzie uciec im, i najszybciej jak to tylko będzie możliwe, dostarczyć informacje do Agencji Detektywistycznej Kyth, w Orado. Dalej całą sprawę przejmie już agencja.

****

Panna Mines spojrzała na niego badawczo.

– Zdaje pan sobie chyba sprawę, że zanim agencja zdąży cokolwiek zrobić, najprawdopodobniej będziecie już martwi?

– Spróbujemy uniknąć takiej sytuacji – odparł Dasinger. – Poza tym, jak dotąd rozważyliśmy jedynie najgorszy wariant, sposobu pojawienia się Spy. Ale sprawy mogą również pójść źle tam na dole. Powiedzmy, że stracę kontrolę nad grupą, albo wszyscy zostaniemy zaatakowani przez to samo, co zaatakowało załogi tych statków, które wylądowały tu poprzednio, i okaże się, że kwil specjalnie na to nie pomaga. To chyba zrozumiałe, że w takim przypadku, również natychmiast skieruje pani Cata do Ośrodka, i przekaże wiadomość agencji. W porządku?

Duomart potwierdziła skinięciem głową.

Wyciągnął z kieszeni płaskie pudełeczko z podskórnym iniektorem i otworzył je.

– Czy ma pan zamiar wziąć swoją działkę kwilu zanim jeszcze wylądujemy? – spytała panna Mines.

– Nie. Chcę, żeby pani miała również pod ręką jedną ampułkę, przynajmniej do chwili, kiedy nie odkryjemy na czym polega problem. Jeżeli będzie pani musiała wziąć ten środek, to pewnie zwali on panią z nóg, ale być może również utrzyma przy życiu. Sam także poczekam do ostatniej chwili, żeby zobaczyć, czy przejście na kwil jest naprawdę koniecznością. Halucynacje, jakich od tego świństwa dostaję później, mogą mnie złapać, kiedy będę w środku jakichś krytycznych działań lub w jakiejś innej istotnej sytuacji, a to mogłoby się nie skończyć za dobrze. – Zamknął z powrotem pudełko i odłożył na bok. – Myślę, że wszystko już ustaliliśmy. Czy mogłaby pani zerknąć na panel wizyjny? Coś –– lub ktoś –– wyszło spod drzew w pobliżu miejsca z którego unosi się słup dymu. I jeśli mnie wzrok nie myli, to jest istota ludzka.

Duomart wsunęła ampułkę z kwilem, którą dał jej chwilę wcześniej Dasinger, do szuflady przy pulpicie z urządzeniami sterowniczymi.

– Wydaje mi się, że ma pan rację – odparła. – Obserwuję go już od jakichś trzydziestu sekund.
– Czy to człowiek?
– Jestem tego niemal pewna. Porusza się dokładnie tak jak człowiek.
Dasinger wstał.
– No to pójdę porozmawiać z doktorem Egavine. Wymyśliłem robotę dla niego i jego hipnosprayu, na wypadek gdyby zdarzyło się nam wpaść na ocalałych ludzi.
– Czy mam skierować statek w jego pobliże?
– Nie. Proszę wylądować mniej więcej pięćset jardów na północ, pośrodku tej wielkiej łaty otwartego terenu. To powinno nas zabezpieczyć przed zasadzką. Kiedy będzie pani schodzić na dół, najlepiej niech pani trzyma się pustej przestrzeni powietrznej wokół tych wraków.
Duomart spojrzała na niego z protestem w oczach.
– Niech mnie licho, jeśli choć zbliżę się do tego terenu!
Dasinger wyszczerzył zęby w uśmiechu.
– Coś a propos Scouta?
– Pewnie. Nie ma żadnej widocznej przyczyny, dla której Scout miałby usiąść tam tak twardo, by rozbić silnik. Handing był całkiem niezłym pilotem.
– Hmmm. – Dasinger potarł ręką podbródek. – Tak się właśnie zastanawiam. Jak pani wie, ci którzy zaatakowali Asteroidy Doseya, przypuszczalnie podczas tego rajdu na stację, użyli nieznanego typu broni przeciwpiechotnej. Na wraku nie widać nic, co mogłoby posłużyć do tego celu. Nic co mogłoby wyglądać, powiedzmy, na działko automatyczne, ale… No dobrze, po prostu proszę podchodzić z najwyższą ostrożnością, i niech pani będzie gotowa, żeby pryskać stąd jak najszybciej, na pierwszą oznakę kłopotów!

****

Mooncat powoli ześlizgiwał się w dół, zmierzając w pobliże punktu, w którym na otwartej przestrzeni stał człowiek, w odległości stu jardów od kępy drzew, z której ciągle bił w górę skłębiony, gęsty dym. Człowiek spokojnie przyglądał się schodzącemu coraz niżej statkowi, nie podejmując dalszych prób przyciągnięcia uwagi obecnych na pokładzie ludzi.
Duomart stwierdziła, że nie był to żaden z członków zagubionej załogi Handinga, tylko ktoś obcy. Musiał więc być jednym z napastników, którzy zaatakowali Asteroidy Doseya.
Mooncat wysunął w dół dwie nogi i dotknął ziemi, lądując w otwartym, lekko pagórkowatym terenie, w odległości nieco ponad jednej czwartej mili od linii lasu. Stanął pewnie, z zawadiacko uniesionym nosem. Otworzyła się śluza prowadząca do pomieszczenia magazynowego i niemal bezgłośnie wysunęła się z niej rampa. Jako pierwszy we włazie pojawił się

Quist, wyrzucając na zewnątrz dwa złożone przenośne kontenery mieszkalne, a następnie zwinnie schodząc po rampie. Po nim schodził, z dużo większą ostrożnością, doktor Egavine, prowadząc za sobą dwóch Flociarzy ze skutymi rękoma. Dasinger wyszedł na zewnątrz jako ostatni, po drodze przyglądając się z góry rozbitkowi, który ruszył po zboczu wzgórza, w stronę statku.

– Wszyscy na zewnątrz – powiedział do mikrofonu swojego naręcznego komunikatora. – Proszę zabrać statek w powietrze.

Rampa równie bezgłośnie złożyła się i znikła w śluzie, szczęknął zamykany właz i Mooncat lekko i delikatnie oderwał się od ziemi. Liu Taunus popatrzył na wznoszący się coraz wyżej ścigacz, spojrzał na Calata i przez kilka sekund mówił coś do niego w języku Floty, głośno i z naciskiem. Z jego szerokiej twarzy nie można było wyczytać żadnych uczuć. Dasinger przerwał mu jednak.

– W porządku, Quist, rozłóż kontener.

Kiedy kontener był gotowy, Dasinger pokazał Flociarzom kciukiem w stronę drzwi.

– Wchodzić do środka, chłopcy! – powiedział. – Quist, zamknij za nimi drzwi na klucz i zostań tu, aby ich popilnować. Chodźmy, panie doktorze. Wyjdźmy naszemu przyjacielowi naprzeciw…

****

Rozbitek nieśpiesznie zmierzał w ich stronę, idąc długimi spokojnymi krokami. Podobne do ptaka stworzenie, siedzące na jego ramieniu, wyciągało swoją długą szyję, aby przyjrzeć się obcym, okrągłymi, żółtymi oczyma. Był to wysoki i smukły mężczyzna, na oko lżejszy o co najmniej trzydzieści funtów niż Taunus, ale w doskonałej kondycji fizycznej. Twarz miał energiczną i inteligentną, w tej chwili wesoło uśmiechniętą.

– Już niemal straciłem nadzieję, że kiedykolwiek nadejdzie ten dzień! – powitał ich w translingwie. – Czy mógłbym zapytać, kim panowie są?

– Zespołem badawczym – Dasinger pochwycił wyciągniętą rękę i ją uściskał, podczas gdy prawa ręka doktora Egavine'a, niby przypadkowo powędrowała w stronę klapy jego marynarki. – Zauważyliśmy dwa rozbite statki, leżące tam w dole, przy jeziorze – wyjaśnił Dasinger, – a później zobaczyliśmy pański sygnał dymny. Jak pan się nazywa?

– Graylock. Kiedyś pierwszy inżynier na Antaresie z Vanadii na Aruaque – Graylock odwrócił się, nadal uśmiechnięty, w stronę Egavine'a.

Egavine uśmiechnął się równie miło.

– Graylock – zauważył, – czujesz i nadal będziesz czuł, że ta rozmowa z nami toczy się tak jak sobie zaplanowałeś, aby ją przeprowadzić, oraz że wszystko odbywa się dokładnie zgodnie z twoimi życzeniami. – Odwrócił głowę do Dasingera, pytając: – Dasinger, czy wolałby go pan przesłuchać osobiście?

Dasinger zawahał się, zaskoczony, ale wyraz twarzy Graylocka w ogóle się nie zmienił. Dasinger pokręcił przecząco głową. – Gładko panu poszło, doktorze! – skomentował całą sytuację. – Nie, proszę kontynuować. Ewidentnie jest pan ekspertem w tych sprawach.

– Bardzo dobrze… Graylock. – Doktor Egavine ponownie podjął przesłuchanie. – Teraz będziesz ze mną w pełni współpracował, najlepiej jak tylko potrafisz, zdając sobie sprawę, że jestem zarówno twoim panem, jak i najlepszym przyjacielem. Czy poza tobą pozostali jeszcze przy życiu, jacyś inni ludzie, którzy przybyli tutaj na tych dwu statkach, leżących tam w dole koło wody?

Na sekundę, może dwie zapanowała kompletna cisza. Potem twarz Graylocka zaczęła się nieprzyjemnie zmieniać, tracąc stopniowo wszystkie kolory. Odpowiedział ochrypłym głosem.

– Nie. Ale ja… Ja nie… – Wyjąkał coś zupełnie niezrozumiale, a potem ponownie ucichł, podczas gdy jego twarz stężała i stała się drewniana.

– Graylock – Egavine drążył dalej, – teraz możesz już wszystko sobie przypomnieć, i nie musisz niczego się obawiać. Powiedz mi, co się stało z innymi ludźmi.

Popielatą twarz rozbitka pokryły krople potu. Jego usta dalej wiły się w, milczących grymasach cierpienia. Podobne do ptaka stworzenie zeskoczyło z jego ramienia z cichym, warkoczącym pomrukiem, miękko odlatując na pewną odległość.

Doktor Egavine powtórzył sugestię:

– Już się nie boisz. Możesz sobie przypomnieć. Co się stało z nimi wszystkimi? W jaki sposób umarli?

I nagle twarz wysokiego mężczyzny wygładziła się. Wodził wzrokiem od Egavine'a do Dasingera i z powrotem, z uczuciem lekkiego zakłopotania, a potem wyjaśnił lekkim, konwersacyjnym tonem:

– A dlaczego by nie… Wielu z nas zabił generator Hoviga, od razu po wylądowaniu, w czasie ucieczki z Antaresa. Niektórzy dotarli razem ze mną do granicy promienia rażenia, i zabiłem ich dopiero później.

Doktor Egavine rzucił Dasingerowi kolejne szybkie spojrzenie, ale nie przerwał przesłuchania.

– A załoga tego drugiego statku? – zapytał.

– Z obydwu tak samo. Mieli rzeczy, których potrzebowałem, no i naturalnie nie chciałem ich tutaj żywych.

– Czy generator Hoviga ciągle jest na Antaresie?

– Tak.

– W jaki sposób ten generator zabija?

Na twarzy Graylocka ponownie pojawił się pot, teraz jednak wydawało się że nie zdaje sobie sprawy z tego, jakie emocje mu towarzyszą. Odpowiedział spokojnym głosem:

– Zabija strachem, oczywiście …

****

Teraz już w miarę sprawnie i szybko, udało się wyciągnąć od niego historię ataku na Asteroidy Doseya i generatora strachu Hoviga. Hovig zbudował swoje maszyny wyłącznie w jednym celu: aby obrabować Stację Dostawczą Asteroid Doseya. Zgodnie z planem, następnym krokiem miała być ucieczka, wypełnionym po brzegi zrabowanymi gwiezdnymi hiacyntami Antaresem, w niezbadaną przestrzeń, na co najmniej dwa lata, tak by w końcu wlecieć z powrotem do obszaru Federacji z sektora bardzo odległego od systemu Doseya. Te daleko posunięte środki ostrożności, zakończyły się jednak dla Hoviga katastrofą. Pierwszy inżynier Graylock miał czas na to, aby sobie uświadomić, że jego udział w zyskach z napadu, będzie stosunkowo nieznaczny i oto pojawia się wspaniała możliwość jego pomnożenia.

Graylock i jego wspólnicy zaatakowali więc swoich kolegów z załogi, kiedy tylko statek rabusiów zbliżył się do nieznanej planety, w celu uzupełnienia zapasów wody. Atak zakończył się sukcesem, ale Hovig, pomimo tego, że śmiertelnie ranny, wziął na buntownikach srogi rewanż. Udało mu się uruchomić jedno ze swoich makabrycznych urządzeń, i na skutek jego działania wszyscy na pokładzie Anataresa, którzy przeżyli bunt, natychmiast wpadli w obłęd ze strachu. Pozbawiony kontroli statek, rozbił się na brzegu jeziora. Komuś z ocalałych udało się otworzyć śluzę i masa oszalałych ze strachu członków załogi zaczęła się tratować na rampie, znajdując śmierć na położonych pod nią skałach. Ci, którzy dotarli do podnóża rampy, szaleńczo uciekali od wraku. Efekty działania maszyny Hoviga towarzyszyły im nadal, ale stopniowo słabły, w miarę powiększania się odległości między nimi i Antaresem. W końcu, niemal trzy mile dalej, impulsy pobudzające do strachu zupełnie zanikły…

Ale po tym wszystkim, do wraku nie można było się zbliżyć. Przynajmniej dopóki generator strachu nie wyczerpie całej energii, a tej mogło mu wystarczyć na wiele lat.

Dasinger powiedział z niecierpliwością:

– Panie doktorze, przyśpieszmy to nieco! Niech pan go zapyta, dlaczego oni sami nie zostali porażeni przez swoje mordercze maszyny, kiedy zaatakowali Asteroidy Doseya. Czy te generatory mają działający kierunkowo emiter, czy coś podobnego?

Graylock słyszał pytanie i natychmiast ochoczo odpowiedział:

– Wzięliśmy kwil. Skutki były ciągle bardzo nieprzyjemne, ale możliwe do zniesienia.

Przez kilka chwil panowała cisza. Doktor Egavine odchrząknął.

– Wydaje się, panie Dasinger – zauważył, – że nie wzięliśmy pod uwagę bardzo istotnego czynnika.

Dasinger skinął potwierdzająco głową.

– I to raczej dosyć oczywistego – sucho oznajmił. – Proszę kontynuować, panie doktorze. Ile wzięli tego kwilu? Na jak długo przed atakiem musieli go wziąć?

Doktor Egavine rzucił mu spojrzenie i powtórzył pytania.

Graylock relacjonował, że Hovig zaczął przyzwyczajać załogę do kwilu na tydzień lub dwa przed wylotem Anataresa z Aruaque, w celu uderzenia

na stację. We każdym przypadku, dawkowanie zwiększało się stopniowo, aż do ilości jaką dany konkretny człowiek potrzebował do tego, by pozostać niewrażliwym na działanie generatora. Indywidualne zróżnicowanie było spore i trudne do przewidzenia.

Dasinger oblizał wargi końcem języka, kiwając potwierdzająco głową.

– Niech pan go zapyta…

****

Wyprostował się gwałtownie, słysząc ciche warczenie i trzepot skrzydeł. Zwierzak Graylocka podleciał w ich kierunku i usiadł na ramieniu swojego pana, odwracając się tak, by mógł patrzeć na Dasingera i Egavine'a. Dasinger przyglądając się żółtym sowim oczom i dziwnej małej rurce pyszczka zwierzęcia, kontynuował instruowanie Egavine'a.

– Proszę go zapytać, gdzie na statku przechowywany był łup.

Graylock potwierdził opis Leeda Farousa, znaleziony przez niego w rejestrach Antaresa. Wszystko, z wyjątkiem paru gwiezdnych hiacyntów, znalazło się w podobnym do skarbca przedziale w ładowni, który został na głucho zamknięty. Do jego otworzenia potrzebne były materiały wybuchowe. Hovig trzymał u siebie z pół tuzina większych kamieni, może jako antidotum na nudę, podczas długiej podróży, jaką mieli przed sobą. Graylock znalazł jeden z nich, tuż przedtem zanim piekielny instrument Hoviga rozpoczął swoje działanie.

– I gdzie on teraz jest? zapytał go doktor Egavine.

– Ciągle go mam.

– Przy sobie?

– Tak.

Doktor Egavine wyciągnął rękę, z otwartą dłonią odwróconą ku górze.

– Już go nie chcesz, Graylock. Daj mi go.

Graylock wyglądał na lekko oszołomionego, przez moment wyglądało nawet, że rozpłacze się jak dziecko. Potem wyciągnął z kieszeni węzełek ze skóry, rozwinął ją, wyciągnął klejnot i położył na dłoni Egavine'a. Egavine podniósł go do oka, trzymając między kciukiem i palcem wskazującym drugiej ręki.

Na kilka sekund zapanowała głęboka cisza, w której gwiezdny hiacynt płonął jasnym ogniem w wieczornym powietrzu, a trzech mężczyzn i małe skrzydlate zwierzę, wpatrywali się w niego, nie mogąc oderwać oczu. Doktor Egavine z wolna westchnął:

– Otóż to! – powiedział lekko rwącym się głosem. – Mówi się, że ludzie mogliby zabijać bez końca, jedynie dla tego piękna, tak to prawda!… Teraz pan go weźmie, Dasinger? Czy mogę ja?

Dasinger popatrzył na niego z zamyśleniem.

– Niech pan go zatrzyma, doktorze – powiedział w końcu.

****

– **P**anie Dasinger – zauważył kilka minut później doktor Egavine. – Tak sobie myślę…

– Słucham?

– Próba opisu przez Graylocka doświadczeń jakie przeżył, sugeruje że maszyna na Antaresie w rzeczywistości nie transmituje uczucia grozy, tak jak mu się to wydawało. Przedstawiony obraz wskazuje raczej na to, że znosi ona czasowo zarówno wrodzone jak i nabyte bariery segmentacji umysłu, co w efekcie skutkuje wybuchem kompleksowego obłędu, doprowadzonego do takiego stopnia, jaki byłby nie do pomyślenia bez wpływu takiego czynnika zewnętrznego. Jak widzieliśmy u Graylocka, ten stan w gruncie rzeczy jest niemożliwy do opisania, albo do wyobrażenia! Naprawdę diaboliczne urządzenie…

Zmarszczył mocno brwi.

– Niejasnym nadal pozostaje, dlaczego narkotyk, kwil, przeciwdziała temu efektowi. Ale ponieważ wiemy już teraz, że tak faktycznie jest, być może miałbym pewne rozwiązanie stojącego przed nami problemu.

Dasinger kiwnął zachęcająco głową.

– Proszę, niech pan mówi dalej.

– Niech panna Mines natychmiast sprowadzi statek na dół – poinstruował go Egavine. – Jest naprawdę spore prawdopodobieństwo, że pośród moich zapasów środków medycznych, będzie jakiś efektywny substytut, pozwalający dla tego konkretnego zadania zastąpić kwil. Kilka godzin eksperymentów i…

– Panie doktorze – przerwał mu Dasinger, – niech pan się tak nie rozpędza! Jak dotychczas nasze małe wojny podjazdowe nie przynosiły nikomu żadnej szkody. Teraz jednak znaleźliśmy się w zupełnie innej sytuacji… bardzo szybko nasz czas może się skończyć. Odpuśćmy więc sobie te gierki.

Doktor Egavine przebił go ostrym wzrokiem.

– Co pan chciał przez to powiedzieć?

– Chciałem powiedzieć, że obydwaj, oczywiście, mamy kwil. Nie ma więc najmniejszej potrzeby prowadzenia eksperymentów z doborem narkotyku. Ale faktem jest również, że samo jego posiadanie, nie jest żadną gwarancją tego, że uda nam się dostać w pobliże generatora. Tkanki Leeda Farousa były wręcz przesiąknięte tą substancją. Organizacja Graylocka miała całe tygodnie na to, by określić jak duże dawki są potrzebne dla każdego z nich, aby był zdolny do normalnego funkcjonowania w zasięgu działania maszyn i nie popadł w szaleństwo. Będziemy mieli prawdopodobnie wystarczająco dużo kłopotów, bez prób oszukiwania się wzajemnie.

Doktor Egavine odchrząknął.

– Ale ja…

Dasinger przerwał mu ponownie.

– Pańska niechęć do przekazania mi wszystkiego co pan wie lub czego się pan domyśla, jest zupełnie zrozumiała. Nie miał pan wcale więcej powodów, żeby mi w pełni zaufać, niż ja w stosunku do pana. A więc zanim powie pan choćby jeszcze jedno słowo, prosiłbym, aby spojrzał pan na te dokumenty. Wydaje mi się, że powinien pan rozpoznać urzędowe pieczęcie Federacji.

Egavine wziął podany futerał z legitymacją, zerknął ponownie na Dasingera, i dopiero wtedy otworzył futerał.

– A więc – powiedział po chwili, – Jest pan detektywem, pracującym dla Kompanii Asteroidów Doseya… – Jego głos był zupełnie opanowany. – To, oczywiście, zmienia całą sytuację. Dlaczego mi pan wcześniej tego nie powiedział?

– To chyba powinno być oczywiste – odparł Dasinger. – Jeżeli jest pan uczciwym człowiekiem, ten fakt nie powinien robić panu żadnej różnicy. Kompania jest prawnie zobowiązana do wypłacenia nagrody za odzyskanie gwiezdnych hiacyntów. Nie wnoszą zresztą przeciwko temu żadnych obiekcji. To co by się im naprawdę nie spodobało, to możliwość powtórnej kradzieży klejnotów. Gdyby pan o tym myślał, to oczywiście, nie chciałby pan doprowadzić tutaj agenta kompanii. Innymi słowy, panie doktorze, współpracując ze mną, nie ponosi pan żadnego ryzyka oszustwa i pozbawienia pana pańskiej polowy uprawnień do nagrody za odzyskanie klejnotów.

Dasinger poklepał się po wystającej z kieszeni marynarki broni.

– I oczywiście – dodał po chwili, – gdybym pomimo tych listów uwierzytelniających okazał się być jednak bandytą, to natychmiast wyeliminowałbym pana z naszej spółki, zamiast z panem tutaj rozmawiać! Fakt, że tego nie robię, powinien być dla pana dostateczną gwarancją, że nie mam zamiaru zrobić tego również w przyszłości.

Doktor Egavine potwierdził skinieniem głową.

– Jestem świadom tej kwestii.

– Zajmijmy się więc odzyskaniem tych klejnotów – powiedział Dasinger. – Dla pańskiej dalszej informacji, poluje na nas z pirackimi zamiarami, uzbrojony statek Floty, i prawdopodobieństwo, tego że znajdzie nas w ciągu kilku najbliższych godzin jest…

****

Krótko opisał sytuację w jakiej się znaleźli, podsumowując na koniec:

– Doprowadzając nas tutaj, wypełnił pan swoją część kontraktu. Może pan więc, jeżeli oczywiście pan chce, zminimalizować dalsze ryzyko osobiste, korzystając z szalupy ratunkowej statku Floty. Zakładając, że kwil pozwoli nam dostać się do Scouta, mógłby pan ewakuować się z planety wraz z Quistem. Ustawicie panowie kurs w normalnej przestrzeni na Orado, a my zabierzemy was stamtąd, zaraz jak tylko skończymy robotę.

Doktor Egavine pokręcił przecząco głową.

– Dziękuję, ale zostanę tutaj. W moim interesie leży, aby dać panu najlepsze wsparcie, jakie tylko będę mógł… i, zgodnie z pańskimi przypuszczeniami, mam spory zapas kwilu. Jaki jest więc pański plan?

– Pierwszy krok polega na wyłączeniu generatora Hoviga – odparł Dasinger. – A ponieważ nie wiemy jakiej dawki narkotyku potrzebuje każdy z nas, podchodzenie do Antaresa statkiem, byłoby proszeniem się o kłopoty. W każdym bądź razie okazało się, że panna Mines jest wrażliwa na kwil. Trzeba więc podjąć pieszą wyprawę, i mam zamiar natychmiast wyruszyć na dół. Czy dałoby się uwarunkować rozkazami hipnotycznymi Graylocka i Flociarzy, w takim zakresie, aby pomogli trochę w pracach ratowniczych?

Egavine potwierdził głową.

– Nie będzie z tym żadnych problemów.

– Mógłby więc pan już teraz zacząć ich warunkować do tego zadania. Patrząc z zewnątrz na Antaresa, wydaje się że przebicie się do środka i wydobycie gwiezdnych hiacyntów, może być naprawdę poważną pracą. Mamy trzy skafandry ratownicze. Jeżeli uda mi się dostać do generatora i go wyłączyć, to kiedy wyjdę ze statku, będę potrzebował tych zahipnotyzowanych mięśniaków tam na dole. Umówmy się, że sygnałem do ich wysłania, będzie przelot panny Mines nad kontenerem.

– A dlaczego mają iść na pieszo? Wtedy już przecież, panna Mines będzie mogła zabrać nas do wraku w kilka sekund.

Dasinger pokręcił przecząco głową.

– Przepraszam, panie doktorze. Nikt poza panną Mines i mną, nie wejdzie na pokład Mooncata, dopóki nie skończymy naszej roboty tutaj, albo nie zostaniemy zmuszeni do jej porzucenia i ucieczki. Obawiam się, że jest to jeden ze środków ostrożności, jakie muszę podjąć. Kiedy dojdziecie do Antaresa, damy każdemu z chłopców porządną działkę kwilu. Ci, którzy po nim nie padną, będą mogli zacząć pomagać.

Doktor Egavine zapytał z nutą zastanowienia w głosie:

– Naprawdę myśli pan, że narkotyk nadal będzie niezbędny?

– No cóż – odparł Dasinger, – Hovig wydaje się być takim typem człowieka, który mógł podjąć również pewne środki ostrożności. Wiemy od naszego przyjaciela, że miał trzy generatory, a uruchomił tylko jeden z nich. Powstaje więc pytanie, gdzie są pozostałe dwa? Wcale bym się tak bardzo nie zdziwił, gdyby jeden z nich, a może nawet obydwa, zostały wykorzystane do tego by czekać na intruzów w skarbcu, w którym zamknięta została zdobycz.

****

Noc była chłodna. Wiatr szeleścił w niskich zaroślach porastających ziemię wszędzie dookoła i sporadycznie strzelających w górę kępkach drzew. Poza tym odgłosem, na zboczach wzgórz panowała cisza. Niebo

pokrywały warstwy chmur, w których unosił się niewidoczny dla oka Mooncat. W noktowizorze, nałożonym przez Dasingera zaraz po wyruszeniu w kierunku statków, skalisty górski stok, którym schodził, był wyraźnie widoczny w promieniu około dwustu metrów, zabarwiony na zielono, tak jak gdyby był skąpany w dziwnej księżycowej poświacie. Dalej znajdowała się jedynie skłębiona, mroczna ciemność.

– Ciągle żadnych problemów? – dopytywał się głos Duomart z komunikatora naręcznego.

– Eh-em…! – odpowiedział Dasinger. – Trochę nerwów, ale w podobnych okolicznościach zawsze tak się czuję.

– Nie jestem tego taka pewna – powiedziała. – Podszedł pan na dwie i pół mili od generatora. Z tego co twierdził ten potwór Graylock, mniej więcej w tej odległości powinien pan zacząć odczuwać skutki jego działania. Dlaczego nie zagra pan bezpiecznie i nie weźmie kwilu?

– Nie – sprzeciwił się Dasinger. – Jeżeli poczekam, dopóki nie poczuję czegoś, co ewidentnie będzie można przypisać działaniu maszyny, to będę mógł dobrać jak najmniejszą dawkę. Nie chcę szprycować się narkotykiem w stopniu większym niż to jest niezbędne.

W noktowizorze pojawił się nagle rząd wysokich drzew o omszałych pniach wraz z rosnącym miedzy nimi gęstym poszyciem. Dasinger z dużą ostrożnością zaczął się przeciskać przez zarośla. Jak dotąd wszystkie oznaki wskazywały, że miejscowe zwierzęta miały na tyle dużo rozumu, aby unikać sąsiedztwa maszyny Hoviga, tak samo jak i ludzi, ale jeśli w okolicy kręciły się jakieś niebezpieczne bydlęta, to mogło być tutaj dobre miejsce na zasadzkę. Obawy były więc całkiem uzasadnione. Inne lęki, równie wyraźnie odczuwane, wyglądały już dużo mniej sensownie, kiedy im się tak obiektywnie przyjrzeć. Wystarczyło, że potknął się o jakiś kamień, już powodowało to u niego przypływ gwałtownego, trwającego kilka sekund, uderzenia adrenaliny, a jego oddech przyśpieszał dużo mocniej, niż można by to zwalić wyłącznie na wysiłek zejścia stromym zboczem.

****

Po pięciu minutach wędrówki przez las, Dasinger który właśnie wyłonił się z gardzieli wąskiego wąwozu, stanął nagle w miejscu, z okrzykiem zaskoczenia. Jego ręka zaczęła pośpiesznie grzebać w kieszeni, szukając paczuszki iniektora z kwilem.

– Co się stało? – ostro dopytywała się Duomart.

Dasinger wydał z siebie coś w rodzaju zdyszanego chichotu.

– Muszę wziąć kwil. Natychmiast!

– Czuje pan… jakieś sensacje? – Jej głos wyraźnie drżał.

– Żeby tylko! Ponadto to nie tylko sprawa czucia. Na przykład, właśnie w tej chwili, wędruje w moim kierunku kilku starych kumpli. Muszę dodać, że od dawna martwych!

– Och! – słabo jęknęła. – Proszę się pośpieszyć!

Dasinger błyskawicznie przesunął dozownik strzykawki o jedną czwartą w dół skali dla kwilu i wbił sobie igłę w ramię. Przez kilka sekund stał zupełnie nieruchomo, wypełniwszy płuca chłodnym mocnym powietrzem, które potem wypuścił w długim westchnieniu.

– Udało się! – powiadomił ją, ponownie pewnym głosem. – Ten towar szybko działa. Jedna czwarta działki…

– Dlaczego tak długo pan z tym zwlekał?

– Jak do tej pory, nie było aż tak źle. Potem nagle… oddziaływanie tego generatora nie może nasilać się stopniowo! W każdym razie, zwaliło to się na mnie jak skała. Wątpię, aby zainteresowały panią szczegóły.

– Z pewnością, nie – zgodziła się Duomart. – Jestem już wystarczająco przerażona, siedząc tutaj na górze. Żałuję, że w ogóle zdecydowaliśmy się na tę robotę!

– Przy odrobinie szczęścia, za godzinę może już wyniesiemy się z tej planety.

W międzyczasie szedł już dalej. Dochodzący od strony jeziora chlupot niesionej wiatrem wody, stawał się coraz głośniejszy. Był świadom również narastającego pulsowania, czającego się gdzieś z przodu, generatora Hoviga, jakby jakiejś żywej i złośliwej istoty, kryjącej się w mroku nocy. Wkrótce w noktowizorze pojawił się statek Floty, potężny, ciemny kadłub, którego podstawa skryła się w roślinności, bujnie rozrośniętej dookoła, po jego upadku na zbocze. Dasinger przemieszczał się wzdłuż Scouta, przeciskając się przez krzaczaste, aromatyczne zarośla, gęstniejące coraz bardziej w miarę jak zbliżał się do wody. Czuł się wręcz fizycznie ospały i chory, zdając sobie sprawę również z narastającej niechęci do kontynuacji wyprawy. Zanim spróbuje wejść na pokład Antaresa, będzie potrzebował więcej kwilu.

Od strony zachodniej, niebo było częściowo czyste, i wkrótce zobaczył leżący nad brzegiem odnogi jeziora wrak rajdera, który zaatakował Satelity Doseya, rysujący się ciemną plamą na tle gwiazd widocznych w tej stronie nad horyzontem. Był ciągle poza polem widzenia noktowizora i wyglądał jak jakieś pokryte pancerzem zwierzę wodne, które właśnie wypełzło z jeziora, w górę zbocza. Dasinger zbliżał się do niego powoli, z jakąś mgliście odczuwaną niechęcią. Wyszedł z krzewów na otwarty teren i zobaczył szeroką rampę wejściową, pokrytą grubą, kosmatą warstwą, podobnych do pleśni roślin. Prowadziła ona stromo pod górę, do otwartego włazu w górnej części Antaresa. Pulsowanie generatora było jak bicie serca okaleczonego statku, rozgniewane i groźne. Zdawało mu się, jakby coraz bardziej rosło w siłę. I czy coś tam się poruszyło w śluzie? Dasinger stał, czując jak przez głowę szaleńczo przepływają mu uczucia, śniąc na jawie, że powoli wokoło wzbiera coś potężnego, wznosząc się nad nim jak gigantyczna, nachylająca się do przodu fala…

****

– Czy nadal wszystko w porządku? – dopytywała się Duomart.

Fala rozpadła się w kawałki.

– *Dasinger! Co się stało?*

– Nic – odparł Dasinger, matowym głosem. Wyciągnął igłę pustej strzykawki z ręki i wyrzucił ją na bok. – Ale coś *niemal* się stało. Dawka kwilu, którą wziąłem wcześniej, okazała się za mała. Stałem tutaj jak zaczarowany, czekając aż ta przeklęta maszyna wciągnie mnie zupełnie, i wtedy na szczęście pani się odezwała.

– Szkoda, że nie słyszał pan siebie, co pan wygadywał przez komunikator! Myślałam już, że jest pan… – Jej głos na chwile umilkł, ale potem ponownie się odezwała. – W każdym razie – szybko dodała, – mam nadzieję, że teraz jest pan napakowany kwilem po uszy?

– Prawdopodobnie bardziej niż powinienem – Dasinger powoli przetarł oboma rękoma twarz. – No cóż, na to nic już nie można poradzić. Myślę jednak, że było naprawdę blisko! Nawet nie pamiętam, jak wyjąłem prochy z opakowania.

Ponownie spojrzał w górę, na majaczący się przed nim w półmroku łuk kadłuba Antaresa, teraz może już nie taki piękny, ponieważ pozbawiony swojej grozy i tajemniczości. Nadal co prawda dochodził z niego pulsujący rytm, był to jednak już tylko problem mechaniczny, nic więcej.

– Wchodzę do środka.

Z ciemności we wnętrzu śluzy dolatywał odór zastałej wody, starości i rozkładu. Pleśń, która namnożyła się na powierzchni rampy, nie przeniknęła do środka wraku. Wewnątrz rosło jednak coś innego, blade i oleiste wąsy, ozdabiające jakby girlandami całe ściany. Dasinger zsunął z oczu noktowizor, wyciągnął małą kieszonkową latarkę, przejechał jej promieniem na zewnątrz dokoła włazu i poświecił do środka śluzy.

Uderzenie, które zgniotło dolną część kadłuba statku, wypchnęło podłogę w pomieszczeniu śluzy do góry, zmieniając ją niemal w wysoki pomost. Po prawej stronie, miedzy poszarpaną krawędzią pokładu i dalszą grodzią, widoczna była wyszarpana dwudziestostopowa czarna szpara. Oleiste życie roślinne, przelewało się przez krawędzie płyty podłogi w dół, do zatopionych niższych partii Antaresa. Pulsowanie generatora Hoviga dobiegało gdzieś z lewej strony od góry, gdzie widać było skośny, stromo wznoszący się korytarz, prowadzący do dziobowej części statku. Dasinger ruszył w jego kierunku i zaczął wspinać się nim do góry.

****

Żeby określić drzwi, prowadzące z korytarza do pomieszczenia, w którym kryła się maszyna, nie były potrzebne żadne zgadywanki. Jeżeli historia Graylocka była prawdą, to musiało chodzić o osobistą kajutę Hoviga. Zbliżanie się do tego miejsca, Dasinger odczuł jak stopniowe wchodzenie w mroczną chmurę burzową. Drzwi były zamknięte na klucz, a chociaż ściany wokół nich były powyginane i potrzaskane, szczeliny były

za wąskie, aby dało się przecisnąć przez nie do środka. Dasinger wygrzebał z kieszeni narzędzie, które niegdyś było cenną własnością jednego z najbardziej cenionych włamywaczy w Orado, i przystąpił do pracy nad zamkiem. Po minucie lub dwóch, częściowo udało mu się wepchnąć drzwi do środka, wyrywając je z pogiętej framugi, a następnie wgramolił się przez powstałe wejście do wnętrza kabiny.

Po upływie tak długiego czasu, po Hovigu nie pozostało zbyt wiele rzeczy, które szczególnie by się rzucały w oczy. Generator leżał w jednym z kątów, na wpół pogrzebany pod rumowiskiem innych skłębionych, trudnych do rozpoznania szczątków. Dasinger odsłonił go, czując się jakby tonął w niewidocznym potoku grozy, wylewającej się falami ze środka urządzenia. Klęknął przy nim i przymocował latarkę do znajdującej się obok ściany.

Maszyna odpowiadała dokładnie opisowi Graylocka. Ciężka plastikowa obudowa w kształcie naleśnika, o średnicy osiemnastu cali, z dwoma grubymi przyciskami na boku. Jeden z nich wciśnięty był równo z powierzchnią plastiku, drugi wyciśnięty. Dasinger eksperymentalnie próbował przerzucić drugi przełącznik, stwierdzając jednak, że najwyraźniej nie da się go poruszyć, a potem wyciągnął broń.

– Jak panu idzie, panie Dasinger? – zapytała panna Mines.

– W porządku – powiedział Dasinger. – Uświadomił sobie, że mówienie sprawia mu poważne trudności. – Znalazłem tę przeklętą rzecz! Teraz próbuję ją jakoś wyłączyć. Powiem pani za minutkę…

Puknął dwukrotnie w wyciśnięty przycisk, tym razem kolbą broni, a potem walnął z całej siły. Przycisk wbił się do środka maszyny, na równi z drugim. Jego odpowiednik jednak nawet nie drgnął. Uczucie zalewającej grozy nadal było wyraźnie wyczuwalne.

Dasinger oblizał spieczone wargi, wrzucił broń do kieszeni i wyciągnął wytrych. Częściowo już wyważył płytę pokrywy generatora, kiedy nagle rozleciała się w kawałki. W tej samej chwili, chmura burzowa wypełniająca kabinę, szybko się rozpłynęła. Dasinger sięgnął do wnętrza generatora i gwałtownie wyszarpnął baterię zasilającą, urywając kilka przewodów.

Przysiadł na piętach, przez chwilę wręcz oszołomiony ulgą jaka zapanowała w jego głowie, a następnie stanął na nogi, rozbił elementy maszyny Hoviga o ścianę i odwrócił się w stronę drzwi. Spod leżącej pod ścianą stery złomu i śmieci, coś jasno błysnęło, w świetle promienia jego latarki.

Dasinger przez moment wpatrywał się w gwiezdny hiacynt, a potem go podniósł. Był doskonale oszlifowany, nieco większy od egzemplarza, który Graylock zabrał ze sobą z pokładu Antaresa. W ciągu kolejnej minuty, odnalazł jeszcze cztery inne, podobnej jakości, wychodząc z zamkniętego pomieszczenia z mile obciążającym kieszeń majątkiem, o wartości może nawet dwóch milionów kredytów, przy uczciwych cenach, a mniej więcej połowy tej sumy na podziemnym czarnym rynku klejnotów Ośrodka.

– Tak?

– Wyrwałem już zęby temu diabelstwu.

– Dzięki Bogu! Natychmiast schodzę w dół…

Kiedy Dasinger wyszedł na pomost rampy, z południa nadleciał Mooncat.

– Włazy otwarte – poinformował go głos Duomart. – Przejdę na tył i pomogę.

****

Przetransportowanie wyposażenia do akcji ratunkowych do luku Antaresa, wymagało aż czterech podróży podnośnikiem grawitacyjnym. Potem panna Mines zamknęła włazy Mooncata i wróciła w powietrze. Dasinger wbił się w jeden ze skafandrów ratowniczych, powiesił ręczny komunikator wewnątrz hełmu, pstryknął przełącznikiem świateł, i podszedł do krawędzi pokładu, w przedziale śluzy Antaresa. Czarna woda, odbijała światła skafandra, jakieś trzydzieści stóp poniżej. Sprawdził zestaw narzędzi jakie miał przymocowane do pasa, przerzucił w prawo przełącznik niwelatora grawitacji skafandra, włączył zasilanie podkładek magnetycznych na kolanach, nadgarstkach i w podeszwach butów, a potem spacerując jak mucha, szybko zszedł na dół po grodzi i zanurzył się w wodzie.

– Kiepsko idzie, Duomart! – poinformował dziewczynę kilka minut później, ciężkim z rozczarowania głosem. – Tam na dole jest diabelnie pokręcony bajzel… dużo gorzej niż myślałem, że może być! Wygląda, że całą drogę do skarbca, będziemy musieli po prostu wyciąć palnikami. Niech pani da sygnał Egavine'owi, żeby pogonił tu na dół chłopaków.

Mniej więcej godzinę później, panna Mines przekazała przez komunikator pilną wiadomość:

– Panie Dasinger, dojdą do śluzy, za niecałe cztery minuty! Lepiej niech pan to teraz zostawi i wyjdzie na górę!

– Już tam idę. – Dasinger niechętnie wyłączył przecinak laserowy, którym właśnie pracował, przypiął go do pasa skafandra ratowniczego, odwrócił się w mętnej wodzie i skierował się z powrotem w stronę wyższych sekcji wraku. Prace związane z przedarciem się przez poskręcaną dżunglę z metalu i plastiku do skarbca z klejnotami, wydawały się ukończone nie więcej niż w połowie, i perspektywy ich opóźnienia do czasu możliwego wykrycia przez Spy'a, zaczynały wyglądać na nieprzyjemnie prawdopodobną możliwość. Pośpiesznie częściowo wspinał się, częściowo przepływał niemal pionowym korytarzem, jaki wyciął i oczyścił, stwierdzając po dojściu do pomieszczenia śluzy, że zalane jest ono powodzią światła dziennego, a żółte słońce systemu wisi już dobrze ponad horyzontem. Zdzierając z siebie skafander ratowniczy, przełożył komunikator z powrotem na nadgarstek i wyszedł na platformę rampy.

****

Pięciu ludzi właśnie pojawiło się koło statku, pokonując w porannym świetle ostatni fragment zbocza. Całą grupę prowadzili Taunus i Calat, za nimi szedł Graylock, niosący na swoim ramieniu skrzydlate zwierzę, które co jakiś czas wzlatywało w powietrze, trzepocząc skrzydłami nad idącymi ludźmi. Quist i Egavine trzymali tylną straż. Dasinger wyciągnął z kieszeni pistolet.

– Kiedy zejdę ponownie pod wodę, z chłopcami, przypnę pistolet do skafandra – powiedział do komunikatora. – Jeżeli doktorowi lęgną się w głowie jakieś sztuczki, to powinno to mu dać trochę do myślenia. Kiedy wejdą do środka, zabiorę również broń Quistowi.

– A co z bronią, jaka została w chacie Graylocka? – zapytała Duomart.

– Nie ma w niej ładunków. Zachowuję podstawowe zasady ostrożności, i naprawdę nie widzę, co doktor Egavine mógłby zmalować. Wie doskonale, że straci swoją połowę nagrody za odzyskanie klejnotów, w chwili kiedy podejmie jakiekolwiek nielegalne numery.

Minutę albo dwie później, zawołał głośno:

– Zatrzyma ich pan tam, panie doktorze?

Grupa przetasowała się bezładnie, zatrzymując się pod wejściem na rampę, i wpatrując się na niego w górę.

– Tak, Dasinger? – odkrzyknął doktor Egavine, jego głos brzmiał nieco nienaturalnie.

– Niech Quist wejdzie tu jako pierwszy, ale proszę żeby był sam. – Dasinger rozbroił małego człowieczka przy wejściu do śluzy, posuwając go dalej w kierunku środka pomieszczenia. Potem po kolei weszli pozostali zgłaszając się do Dasingera, a następnie dołączając do Quista.

– Czy wyjaśnił pan wszystkim sytuację? – Dasinger spytał Egavine'a. W małej grupie panowało dziwne napięcie, które mu się nie podobało, chociaż z drugiej strony napięcie mogło być całkiem zrozumiałe w zaistniałych okolicznościach.

– Tak – odparł doktor Egavine. – Oczywiście, są w pełni gotowi służyć nam pomocą. – Uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Świetnie – kiwnął głową Dasinger. – Niech pan ustawi ich rzędem i niech ruszają do pracy! Pierwszy Taunus. Niech…

Z tyłu, koło głowy, usłyszał nagle jakiś szybki ruch powietrza. Odwrócił się gwałtownie, wyszarpując broń, w tym momencie jednak poczuł dwie igły zagłębiające się z obu stron jego szyi.

Jego ciało natychmiast przestało czuć cokolwiek. Cała śluza zdawała się wirować wokół niego, kiedy leżał na plecach, a zwierzak Graylocka z trzepotem skrzydeł usiadł na jego piersi. Stworzenie wyciągnęło szyję, pochylając głowę, aby spojrzeć w jego twarz, otwierając koniuszek rurki pyszczka i pokazując pierścionek małych ząbków. Zdolność widzenia i świadomość jednocześnie opuściły Dasingera.

Pozostali ludzie nawet się nie poruszyli. Potem doktor Egavine, z lekko pobladłą twarzą podszedł do Dasingera. Kiedy zbliżał się do niego, podobne do ptaka stworzenie odskoczyło do tyłu, w stronę wyjścia ze

śluzy. Egavine przyklęknął i powiedział cicho, z ustami przyciśniętymi do naręcznego komunikatora.

– Duomart Mines, masz mnie posłuchać.

Przez sekundę lub dwie panowała cisza. Potem komunikator wyszeptał:

– Tak.

Doktor Egavine złapał długi, powolny oddech.

– Nie czujesz żadnych wątpliwości odnośnie tej sytuacji. Nie masz żadnych pytań i w ogóle ona cię nie interesuje – kontynuował. – Teraz sprowadzisz statek na ziemię i wylądujesz spokojnie obok Antaresa. Potem wejdziesz na górę, do śluzy Antaresa po dalsze instrukcje.

Egavine wstał, a jego oczy jaśniały tryumfem.

****

Trzy mile wyżej, na pokładzie Mooncata, Duomart wyłączyła swój komunikator naręczny i siedziała z pobladłą twarzą, wpatrując się w kadłub Antaresa, widoczny na panelu wizyjnym przekazującym obraz z powierzchni.

– Słodka Jano – wyszeptała. – Jak on to… i co teraz mam…

Zawahała się przez chwilę, a potem otworzyła szufladę pulpitu, wyciągając pozostawioną jej przez Dasingera strzykawkę z kwilem i wsunęła ją do kieszeni. Przypięła kaburę z porażaczem do pasa i położyła ręce na sterach. Potężny gwizd i wycie, uderzyły w Antaresa i w uszy wszystkich znajdujących się w środku. Mooncat pomknął w dół przez atmosferę, z absolutnie nieatmosferyczną szybkością, tuż nad powierzchnią gładko jednak wyrównała i opadła lekko na ziemię, tuż obok wraku.

Kiedy Duomart wyszła z Mooncata, zamykając za sobą luki, we włazie Antaresa nie było nikogo widać. Szybko zaczęła wchodzić do góry, po szerokiej, obrośniętej pleśnią rampie. Właz nadal był zupełnie pusty. Gdzieś spoza niego dobiegały odgłosy toczenia i przeciągania jakichś metalowych rzeczy oraz przyciszone mamrotanie głosów. Na kilkanaście stopni przed wejściem na samą górę rampy, wyciągnęła z kieszeni niewielki porażacz, dobiegła do włazu i wskoczyła do środka, unosząc w górę broń. W przelocie zobaczyła że doktor Egavine i Quist, stoją w pobliżu znajdującej się w pomieszczeniu zardzewiałej ławki, Graylock właśnie założył już do połowy skafander ratowniczy, a Dasinger leży bezwładnie na podłodze… a potem jakiś śmigający ruch po prawej i lewej stronie.

Końce dwóch lin chłosnęły w nią równocześnie z obu stron, jedna z nich przycisnęła jej ręce do boków, a druga podcięła ją na wysokości kostek i wyciągnęła jej nogi spod ciała. Wypaliła dwukrotnie na ślepo w lewą stronę, kiedy liny przewracały ją na podłogę przedziału śluzy. Bezużyteczna broń została przyciśnięta przez jej ciało.

****

– **K**omu zawdzięczam atak tego zwierzęcia na moją osobę? – Dasinger spytał ze znużeniem w głosie. Właśnie przed chwilą odzyskał świadomość i został poinstruowany przez Calata, aby dołączył do pozostałych, na pordzewiałej metalowej ławce, stojącej pośrodku pomieszczenia śluzy. Duomart siedziała po jego lewej ręce, Egavine po prawo, a Quist za nim. Calat stał piętnaście stóp dalej i pilnował ich, trzymając w jednej ręce broń Dasingera, drugą obmacując delikatnie kilka gwiezdnych hiacyntów Hoviga.

Wyraz twarzy Calata był wręcz rozanielony, co czyniło go w tym towarzystwie pewnym wyjątkiem. Liu Taunus i Graylock byli na dole, w ładowniach statku, ciężko pracując przecinakami laserowymi i podnośnikami siłowymi, aby wydobyć zamknięty skarbiec i otworzyć go przy pomocy materiałów wybuchowych. Jak długo mogło im to jeszcze zająć, Dasinger nie wiedział.

– Za to co się stało, może pan podziękować swojemu partnerowi, który wystawił pana do wiatru! – poinformowała go Duomart. Wyglądała na solidnie poobijaną, ale ciągle nie do końca pokonaną. – Graylock używał tego podobnego do ptaka stworzenia do polowań – powiedziała. – To krwiopijca… Ta mała bestia atakuje tutejsze zwierzęta tymi swoimi szponami, a następnie korzystając z ich oszołomienia, napełnia sobie żołądek. A więc ten tam, tytan intelektu od siedmiu boleści, kazał Graylockowi poszczuć swoje zwierzę na pana, i tylko czekali kiedy odwróci się pan do nich plecami… – Zawahała się przez chwilę, a potem kontynuowała, już mniej porywczo. – Przepraszam, że nie trzymałam się pańskich rozkazów, Dasinger. Założyłam, że to Egavine kontroluje tutaj sytuację, i uznałam, że *z nim* dam sobie radę. Wpadłam prosto w pułapkę. – Wyciągnęła z kieszeni kawałki rozbitej strzykawki z kwilem, i rzuciła je przed sobą na podłogę. – Trochę mnie poturbowali – wyjaśniła.

Calat roześmiał się i powiedział do niej coś w języku Floty, szczerząc zęby. Zignorowała go.

Egavine powiedział:

– Kiedy byliśmy na stacji Floty, moje urządzenia zostały potajemnie przebadane, Dasinger. Flociarze wzięli więc odpowiednie narkotyki uodparniające ich na środki hipnotyzujące, jakich używałem. Wyszło to na jaw, kiedy panna Mines sprowadziła ścigacz na dół. Zupełnie nic nie mogłem zrobić. Z żalem muszę oznajmić, że mają zamiar nas zamordować. Czekają jedynie na to, aby się upewnić, że gwiezdne hiacynty rzeczywiście są we wskazanym pomieszczeniu.

– Wspaniale! – jęknął Dasinger. Wyciągnął ręce w tył, po omacku szukając brzegu ławki, żeby się o niego oprzeć.

– Nadal jest pan słaby jak niemowlę, jak sądzę? – spytała panna Mines, z cieniem sympatii w głosie.

– Jestem solidnie podtruty – niepewnie wymamrotał. – To stworzenie zupełnie mnie sparaliżowało… – Zwiesił się trochę na bok, a jego ręka przesunęła się za Duomart. Potem uszczypnął ją w sposób pełen wigoru i najwyraźniej nie sparaliżowany.

Powieka prawego oka Duomart zatrzepotała przez chwilę.

****

– **K**toś skręcił kark temu małemu potworkowi, jeszcze zanim się tu pojawiłam – stwierdziła z satysfakcją. – Ale jest jeszcze parę karków, które bym równie chętnie skręciła! Na przykład pańskiego partnera. Nie to, żeby akurat koniecznie to on był największą gnidą, jaka się tutaj w tej chwili kręci. – Pokazała głową w stronę Calata. Te dwie łachudry, które określają się jako Flociarze, nie zamierzają dzielić się gwiezdnymi hiacyntami nawet ze swoim własnym gangiem! Śpieszą się, żeby jak najszybciej dokończyć robotę, tak by mogli prysnąć do Ośrodka, zanim przybędzie tu Spy. I niech pan nie myśli, ze Liu Taunus ufa temu ograniczonemu mięśniakowi, który tam stoi! Sam ściska w garści klucz do konsoli Mooncata, dopóki nie pojawi się z powrotem.

Calat uśmiechnął się, ale widać było na jego twarzy cień napięcia, a potem powiedział coś cichym, pozbawionym uczucia głosem, wpatrując się w nią z nienawiścią.

– Och, pewnie – odparła mu wyzywająco. – A Taunus będzie mnie trzymał, co? – Spojrzała na Dasingera.

– Wie pan, nie zastrzelą mnie od razu – powiedziała mu konwersacyjnym tonem. – Są na mnie naprawdę wściekli, a więc wezmą mnie ze sobą, żeby przygotować dla mnie coś specjalnego. Ale z zabawy będą nici, jeżeli pokaże się Spy, a ja ze szczegółami opowiem dwudziestu uzbrojonym Flociarzom, jakich to złodziejskich oszustów mają za przywódców! – Z uśmiechem na ustach obejrzała się na Calata, na chwilę lekko wystawiając koniuszek języka spomiędzy warg, a potem wyraźnym i precyzyjnym głosem wypowiedziała kilkadziesiąt słów w języku Floty.

Bez wątpienia musiał być to nadzwyczaj niepochlebny komentarz. Calat zrobił się biały, a następnie poczerwieniał. Półinteligentny twardziel, tak wcześniej opisywała go Duomart. Dokładnie tak właśnie zaczął w tej chwili wyglądać… Dasinger poczuł przypływ przyjemnych przewidywań. Już wcześniej wyciągnął pod ławką mocno do tyłu nogi, teraz powoli przesuwał ciężar swego ciała do przodu, zachowując na twarzy wyraz zaniepokojonego zainteresowania. Calat ponownie powiedział coś w języku Floty, z wściekłości z każdym słowem coraz bardziej podnosząc głos.

Panna Mines odparła na to słodko, wstając na nogi. Bezpośrednie wyzwanie.

Twarz Flociarza zafalowała w niedowierzaniu i furii. Przełożył broń do lewej ręki, i ruszył celowo powolnym krokiem, w kierunku panny Mines, zaciskając prawą dłoń w pięść. Wtedy, właśnie w chwili gdy Dasingerowi

udało się szczęśliwie pewnie zaprzeć nogi o ławkę, z głębi wraku dobiegł stłumiony huk, obwieszczający otwarcie skarbca z gwiezdnymi hiacyntami.

Temu dźwiękowi niemal równocześnie towarzyszył dowód, ze Hovig zastawił w skarbcu pułapkę.

Duomart i Calat zaczęli wrzeszczeć w tej samej chwili. Dasinger wyrzucił swoje ciało z ławki, celując w nogi Flociarza, trafił w nie i przekręcił się, usiłując złapać broń odrzuconą w bok przez zataczającego się i wyjącego Calata, którego twarz falowała obłąkaną grozą. Doktor Egavine, czujnie przewidując rozwój wypadków, już pochylał się z wyciągniętą ręką po tę samą broń, kiedy Dasinger uderzył w niego z byka, zwalając go z nóg.

Dasinger zerwał się na nogi z pistoletem w dłoni… i Quistem okładającym go po ramionach. Odrzucił małego człowieczka na bok i odwrócił się do tyłu z szaloną gwałtownością. Duomart zwijała się na podłodze, w dalszym kącie przedziału, zakrywając twarz rękoma. Dźwięki wydobywające się spod jej rąk, postawiły Dasingerowi włosy dęba na głowie. Przetoczyła się konwulsyjnie dwa razy, zatrzymała niebezpiecznie blisko postrzępionej wyrwy w pokładzie i właśnie obracała się ponownie, kiedy Dasinger wylądował koło niej i ją złapał.

W tej samej chwili poczuł na swoim ramieniu ciężkie, bolesne uderzenie. Podniósł głowę w górę i zobaczył Quista biegnącego w jego stronę, z pordzewiałym kawałem żelastwa we wzniesionej dłoni, dokładnie takim samym, jakim przed momentem w niego rzucił. Egavine spoglądał na nich obydwu, z drugiej strony pomieszczenia. Dasinger przerzucił nogę przez Duomart, przyciskając ją do podłogi, wyciągnął broń i wystrzelił nie celując. Quist niemal w pół kroku zmienił kierunek swojego biegu. Dasinger wystrzelił ponownie, zobaczył jak Egavine rzuca się do włazu i po chwili wahania znika w dole rampy. Quist wystartował za nim szaleńczym sprintem.

W mgnieniu oka wbił igłę jednej z pozostałych strzykawek z kwilem przez tkaninę munduru Duomart i nacisnął tłoczek. Lek uderzył mocno i bez zwłoki. Między jednym uderzeniem serca, a drugim, skończyło się wyrywanie i krzyki. Złapała długi, drżący oddech, a potem bezwładnie zwiotczała, a jej oczy powoli się zamknęły. Dasinger podnosił ją właśnie z podłogi, kiedy jego uwagę przyciągnęła panująca w pomieszczeniu kompletna cisza. Rozejrzał się dookoła. Calata nigdzie nie było widać. I dopiero wtedy uświadomił sobie obecność znajomego uczucia… pulsowanie generatora Hoviga, dzika burza, która okazała się niczym, znoszona przez narkotyk w jego krwi.

Położył nieprzytomną dziewczynę na ławce i podszedł do włazu.

Doktor Egavine i Quist gdzieś zniknęli. Gęste zarośla wzdłuż brzegu jeziora, poruszały się niespokojnie chyba we dwudziestu różnych miejscach, ale nie miał zamiaru szukać tej parki. Ponieważ Mooncat był dla nich niedostępny, było więc tylko jedno miejsce do którego mogli się udać. Ciało Calata leżało rozciągnięte na skałach pod rampą, niemal sześćdziesiąt stóp w dole, tam gdzie inne ludzkie ciała zalegały od sześciu lat. Dasinger rzucił okiem na statek Floty i wszedł z powrotem do przedziału śluzy.

Zapinał właśnie na sobie trzeci ze skafandrów ratowniczych, kiedy usłyszał odgłos startu szalupy ratunkowej Scouta. Pewnie mała prywatna kolekcja gwiezdnych hiacyntów Hoviga, właśnie wystartowała razem z nim. Zdecydował, że kompletnie go to nie obchodzi.

Zatrzasnął nakrycie głowy i stanął na brzegu pokładu, spoglądając z lekkim wahaniem w dół. Bańka mglistego białego światła powoli wypływała z ładowni i po chwili hełm jednego z pozostałych skafandrów przebił oleistą powierzchnię wody, pozostając na jej powierzchni i delikatnie kołysząc się w tą i z powrotem. Dasinger zszedł na dół, wyciągnął ciało Liu Taunusa do przedziału śluzy, i dzięki temu odzyskał główny klucz Mooncata.

Graylocka znalazł pływającego w jego skafandrze, rozdartym o postrzępione resztki grodzi, niedaleko roztrzaskanego skarbca, w którym działały obydwa pozostałe generatory Hoviga. Dasinger uciszył maszyny, przypiął je oraz nieduże metalowe pudło zawierające gwiezdne hiacynty o wartości niemal stu milionów kredytów, do transportera ratowniczego, i zaholował to wszystko do przedziału śluzy.

Minęło naprawdę niewiele minut, kiedy Mooncat wystartował z powierzchni planety, lecąc w górę w nieco niepewny i rozchybotany sposób. Tak jak Dasinger podejrzewał, brakowało mu, i to naprawdę w znacznym rozmiarze, wytrenowanego przez lata praktyki, wyczucia panny Mines w manipulowaniu przyrządami sterowniczymi ścigacza, ale udało mu się jakoś zmusić mały statek do wzniesienia się na wysokość pięciu mil, gdzie względnie bezpiecznie mógł już włączyć napęd podprzestrzenny.

Właśnie usiłował utrzymywać dziób Mooncata skierowany w przeciwną stronę w stosunku do pobliskiego pasma wulkanów, w którego kierunku przez cały czas go znosiło, kiedy wskazówki detektorów wychyliły się maksymalnie do krańca skali i zabrzmiał dzwonek alarmowy. Na rufowym ekranie Mooncata zarysował się nagle kształt obcego statku.

****

Jego obraz natychmiast zniknął, ponieważ Dasinger błyskawicznie uderzył w przycisk nurkowania, równocześnie szybkim ruchem drugiej ręki zdusił ciąg silników statku. Na wpół materialna turbulencja podprzestrzenna, reprezentująca wznoszący się za jeziorem grzbiet górski, w mgnieniu oka wyrosła tuż pod nim… jak się wydawało, w odległości kilku jardów. Po kolejnej sekundzie wyrzuciło go już ponad atmosferę planety. Wtedy w podprzestrzeni ponownie pojawił się Spy, ścigając ich zawzięcie. Na ekranach pojawiła się nagle hucząca seria wybuchów, przez kilka mrożących krew w żyłach chwil zbliżających się do Mooncata, a potem pozostających coraz bardziej w tyle. Pięć minut później, odległość między nimi wzrosła już tak dalece, że Spy zrezygnował z pogoni, wykonując zwrot i kierując się z powrotem w stronę planety.

Dasinger lekko drżącymi rękoma zredukował szybkość statku do względnie rozsądnego poziomu, utrzymywał ją przez kolejne dwadzieścia minut, a potem wyskoczył do normalnej przestrzeni i wziął kurs mniej więcej na Ośrodek. Był całkiem niezłym nawigatorem, jak na planeciarza, ale bez wątpienia nie można było powiedzieć, że na terytorium Floty był klasą sam dla siebie. Po krótkim ręcznym prowadzeniu Mooncata, przełączył więc na automatycznego pilota, ustawiając go tak by wydostać się ze strefy naprężeń tutejszej gwiazdy G2 przed Spy. Otarł czoło z potu, z ulgą wstał z fotela pilota i podszedł do koi, którą wciągnął do kabiny sterowniczej, aby sprawdzić stan Duomart Mines.

Oczywiście, nadal była nieprzytomna. Dawka, którą jej dał, była dostatecznie duża, by osobę uczuloną na kwil zwalić z nóg, co najmniej na kilkanaście godzin. Przez kilka sekund Dasinger przyglądał się jej pokrytej smugami brudu, bladej twarzy, poobijanym policzkom i ciemniejącej coraz bardziej śliwce pod lewym okiem, a następnie otworzył torbę lekarską doktora Egavine'a, by zrobić co tylko można, aby połatać nieco pannę Mines.

Piętnaście godzin później, nadal spała, ale przynajmniej wszystkie zewnętrzne oznaki przebytych zdarzeń, nieco udało się zlikwidować. Dasinger akurat właśnie cielęcym wzrokiem studiował po raz kolejny jej twarz, kiedy otworzyła oczy i spojrzała na niego.

– Udało się nam! Ty… – Uśmiechnęła się, próbując usiąść. Po chwili z zaskoczeniem przechodzącym dalej w oburzenie stwierdziła: – Co to za pomysł, żeby przywiązywać mnie do tego czegoś?

Dasinger z zadowoleniem pokiwał głową.

– Wydaje się, że całkiem doszła pani do siebie! – Wyciągnął rękę, aby odwiązać ją od koi. – Po tym co się stało, nie byłem taki pewien, czy kiedy kwil przestanie działać i obudzi się pani, będzie się pani zachowywać całkowicie racjonalnie.

Duomart nieco zbladła.

– Nawet sobie nie wyobrażałam… – Pokręciła przecząco swoją blond głową. – No cóż, lepiej pomińmy szczegóły. Chyba przez całe lata będę miała koszmary … Co się stało z pozostałymi?

****

Dasinger opowiedział jej o wszystkim co się wydarzyło, podsumowując:

– Egavine może wpadł na Spy, ale prawdę mówiąc wątpię w to. Prawdopodobnie w końcu wypłynie gdzieś w Ośrodku, z klejnotami które zabrał Calatowi, i jeżeli nie zostanie przyłapany w czasie handlu nimi, to może zdoła wyciągnąć za nie około miliona kredytów… Czyli najwyżej jedną szóstą tego, co by zgarnął, gdyby powstrzymał się od nieczystej gry i próby zdobycia wszystkiego. Wątpię, czy nasz doktorek kiedykolwiek przestanie pluć sobie w brodę za to co zrobił.

– Pańska agencja dostanie teraz całą nagrodę za odzyskanie klejnotów, co?

– Nie do końca – odparł Dasinger. – Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, Międzygwiezdna Agencja Detektywistyczna Kyth, okazałaby się krańcowo niewdzięczna, gdyby nie poczuwała się do przekazania pani, takiego samego udziału, jaki mieliśmy zamiar dać doktorowi Egavine.

Panna Mines spoglądała na niego w zaskoczonym milczeniu, jednocześnie czerwieniejąc z podniecenia.

– Dasinger, i pan myśli, że naprawdę uda się panu przekonać ludzi z Kyth, do czegoś takiego?

– Wyobrażam sobie, że raczej tak – spokojnie odparł Dasinger, – ponieważ to ja jestem właścicielem Agencji. To powinno spokojnie sfinansować pani operację we Flocie Willata, i jeszcze zostanie pani parę milionów kredytów na stare lata. Wątpię czy zarobimy cokolwiek na generatorach Hoviga…

Panna Mines wyglądała na lekko zaniepokojoną.

– Ma pan to diabelstwo na pokładzie?

– Przez cały czas. Oczywiście rozmontowane. Przede wszystkim, nie chciałem żeby dostał je w swoje łapy gang z Floty. Możemy wyrzucić je gdzieś w przestrzeni, albo zabrać do Federacji, aby pogrzebali w nich naukowcy. Ustalimy to po drodze. Teraz, czy czuje się pani już na tyle dobrze, aby popatrzeć na ten cały towar, który kosztował życie niemal stu pięćdziesięciu ludzi, jeszcze zanim w ogóle trafił na rynki Ośrodka?

– Nie mogłabym czuć się lepiej! – Wyprostowała się w oczekiwaniu. – Zobaczmy je…

Dasinger podszedł do ściany, pod którą postawił małe stalowe pudło ze zdobyczą z rabunku Asteroidów Doseya.

Za nim Duomart wrzasnęła z całej siły.

Odwrócił się natychmiast w jej stronę, z pobladłą twarzą.

– Co się stało?!

Duomart gapiła się obok niego, na konsolę z przyrządami, z szeroko wybałuszonymi oczyma, zakrywając usta spodem jednej dłoni.

– To… to stworzenie!

– Stworzenie?

– Duże… żółte… oślizgłe… łeee! Schowało się za konsolą, Dasinger! Czai się tam gdzieś!

– Och! – odetchnął z ulgą Dasinger. Uśmiechnął się. – Wszystko w porządku! Proszę się nim nie przejmować.

– Nie przejmować się… Czy pan oszalał?

– Wcale nie. To raczej pani, na sekundę. To bardzo proste. Właśnie pani organizm wydalił ostatnie resztki kwilu, i jest pani na głodzie. A więc ma pani halucynacje, zresztą podobnie jak i ja zwykle miewam. W ciągu następnych ośmiu do dziewięciu godzin, od czasu do czasu, będzie pani widziała wokół siebie różne czasami bardzo dziwne rzeczy. I co z tego? One nie są prawdziwe.

****

– **W** porządku, może one i nie są prawdziwe, ale kiedy je widzę dookoła, jak dla mnie wydają się wystarczająco prawdziwe – powiedziała Duomart. – Ja nie chcę ich widzieć! – Chwyciła głębszy oddech i jej ręka ponownie powędrowała w stronę ust. – Dasinger, proszę, czy nie mógłby pan czegoś zrobić, może uśpić mnie ponownie, dopóki nie miną mi te delirki?

Dasinger pomyślał przez chwilę.

– Jeden z tych hipnosprayów doktora Egavine mógłby to chyba załatwić. Wiem dostatecznie dużo o tym mambo jumbo, aby odesłać panią do krainy słodkich snów, na kolejne dziesięć godzin. – Uśmiechnął się kąśliwie. – Oczywiście, zdaje pani sobie sprawę, że to oznaczałoby, całkowite oddanie się pani w moją moc.

Oczy Duomart zwęziły się na moment. Po chwili jednak spojrzała na niego z szerokim uśmiechem na ustach.

– Chyba pójdę na to ryzyko – oznajmiła.

KONIEC